Nr. 28. Poznań, Niedziela dnia 14-go Lipca 1901 r. Rok V.

# PRACA

Tygodnik illustrowany

*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie* **1,25 m.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 hal.**
**Pod opaską:** *w Niemczech* **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.** *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
*Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.*

**Manuskryptów nie zwraca się.**

(Nadesłano.)

**Nowy gatunek papierosów**
pod nazwą
**„Znakomite”**
polecają 157
**W. Muśnicki i Sp.**
**Warszawa — Poznań.**

## *U progu nowego półrocza.*

*W chwili wypuszczenia niniejszego numeru nie wiemy jeszcze, czy jaki zanotowania godny przyrost abonentów sprowadziły nam usiłowania naszych przyjaciół i wiernych czytelników. Lato podobno nie schlebia czytaniu gazet i tem się tłomaczy, że w okresie pracy około roli zazwyczaj nie przybywa czytelników naszym gazetom. Dotychczas „Praca“ stanowiła wyjątek od reguły.*

*Wyjątkiem tym powinna pozostać i nadal. Przyjaciele nasi wiedzą, dlaczego „Praca“ jest pismem walczącem, pismem nieustającej obrony, pismem, które nie ogranicza się na referowaniu wiadomości, lecz prowadzi swych czytelników jednolitym zastępem kilkunastotysięcznym w sam wir walki. Walka ta nie milknie ani na chwilę, nie zależy ani od pory roku, ani nie może stosować się do urodzajów lub biedy.*

*W każdem społeczeństwie jest pewna najniższa granica zajmowania się polityką: jeśli społeczeństwo niżej tej miary z obojętnością zachowuje się wobec swych spraw politycznych, powoli obumiera i upada.*

*Nasze pismo daje naszemu społeczeństwu tę najmniejszą dozę politycznego zajmowania się sprawami publicznemi: jeśli komu i to jest zadużo, jeśliby ktoś sądził, że mniej poliyki wystarczy ogółowi — ten wpadłby pod względem politycznym niechybnie w zobojętnienie i odrętwienie.*

*Ale na szczęście chyba tak nie jest. Raczej stwierdzić trzeba fakt, że w najszerszych warstwach społecznych coraz bardziej szerzy się zrozumienie spraw politycznych. To też wraz z tym ogólnym ruchem wzrastać muszą pisma nasze, mianowicie te, które nie z tyłu gdzieś tam podążają za wyprzedzającym je rozwojem politycznym, ale te, które mu przodują.*

*Z przyjemnością stwierdzamy znaczny wzrost liczby czytelników „Pracy“ na Górnym Śląsku i na obczyźnie — to jest w tych dwóch obszarach, którym pismo nasze stosunkowo najwięcej uwagi dotychczas poświęcało. Górnym Śląskiem i nadal specyalnie się zajmować będziemy.*

*Z pewnością jednak jest jeszcze wielu opieszałych, którzy z dnia na dzień zwłóczą zapisanie pisma polskiego: na tych niech czytelnicy nasi zwrócą szczególną uwagę w pierwszym tygodniu nowego kwartału. Mówimy to w interesie gazet polskich i sprawy polskiej wogóle. Czytelnik „Pracy“, który naprawdę przejął się naszemi ideami, z pewnością zapyta w bieżącym tygodniu wszystkich swych znajomych, czy odnowili prenumeratę na polskie pisma?*

*Jeśli kto trzyma inne pismo polskie, a nie „Pracę“, niech je z Bogiem trzyma dalej; powinniśmy go zachęcać do odnowienia prenumeraty. A jeśli kto oprócz innego pisma jest w stanie zaabonować i „Pracę“, niech tego nie odkłada na później.*

*Obowiązkiem tradycyjnym, przyjętym w naszem piśmie jest tu powitać wszystkich nowych czytelników, którzy po raz pierwszy zawarli bliższą znajomość z naszem pismem.*

*Wierzymy mocno, że ci wszyscy nowi przyłączyli się do naszego grona z zamiarem wspólnego pracowania nad podniesieniem oświaty i ducha narodowego w naszem społeczeństwie. Nasze pismo nietylko daje, co może swym czytelnikom — ale nadto żąda od nich bardzo wiele: przejęcia się sprawą, żądzy oświaty, polskiego wychowania dzieci, cywilnej odwagi i szczerości w wypowiadaniu zapatrywań, czynnej pomocy w imię hasła narodowego. gdy tego zachodzi potrzeba. — My nie pasiemy czytelników naszych lekką, mało pożywną strawą duchową, ale poka-*

*zujemy im życie w całej jego surowej prawdzie i żądamy, jak od mężów przystoi, śmiałego i bezwzględnego sądu o rzeczach i ludziach, żądamy wiary, że pomimo trudności praca wszystko przezwycięży. —*

*Tem słowem witamy nowych czytelników! Witamy ich jako ludzi, którzy wespół z nami chcą doprowadzić do tego, aby polski lud prosty wywalczył sobie oświatę, aby poznał swą przeszłość i nauczył się wierzyć w przyszłość! —*

*„Praca“.*

# Krzyk matki...

Gdy się myśli o losie naszych biednych dzieci polskich, oddanych na łaskę i niełaskę kulturnych i dyplomowanych germanizatorów, to bezwiednie ściska się serce i mimowoli łza ciśnie się do oka, a myśl zawisa w niepewności co będzie z młodszem naszem pokoleniem, a.... na ustach błąka się nieme pytanie: „kiedyż to będzie lepiej?“ — —

Chłosta w szkole jest czemś tak przeciwnem rozumnej pedagogii, że wszystkie państwa ucywilizowane z wyjątkiem Prus porzuciły ten zwyczaj, jako pewnego rodzaju instytucyę państwową. Ani wysoce cywilizowana Francya, ani złożona z tylu rozmaitych narodów o rozmaitym stopniu kultury Austrya nie zna bicia dzieci przez nauczycieli; szkoły w Królestwie Polskiem również nie rozlegają się echem płaczu i jęków chłostanych dzieci, a nieznanym tam jest fakt, iżby rodzice musieli chodzić z dziećmi do lekarza, któryby stwierdzał przetrącenie kości, naderwanie uszu, rany w głowach, ciężkie obrażenia wewnętrzne, wykręcenie stawów lub inne dobrodziejstwa, których zbyt szczodre rozdzielanie niejednokrotnie stwierdzała już nawet sama prokuratorya pruska.

Tam gdzie pomiędzy dzieckiem a nauczycielem stoi jak mur — różnica narodowości; tam gdzie nauczyciel ma być germanizatorem z urzędu, nagradzanym tym bardziej, im lepiej zdoła nauczyć dzieci po niemiecku, tam kara cielesna wywoływać musi w sercach rodzicielskich wyjątkową gorycz, tak samo jak ów znany przymus szkolny od 6-go roku życia.

Zohydzenie władz szkólnych nie jest celem niniejszego artykułu, my tylko chcemy tu głośno zawołać głosem krzywd i bólu naszego ludu, a tam gdzie krzywdy mówią, tam słowem oskarżać nie potrzeba. Głos krzywd wymowniejszy jest od wszelkich słownych oskarżeń i zarzutów.

We Wrześni, jak się to coraz jaśniej pokazuje, wydarzało się dzieciom polskim niejedno, na co obojętnym być nie można. Rodzice też już podobno stawili wniosek do sądu o ukaranie nauczycieli za zbyt ostre karcenie gawiedzi. Sąd więc sam zapewne rozpatrzy i rozstrzygnie, po czyjej stronie wina zajść wrzesińskich. Nam tylko podziwiać wypada perfidyę i bezczelność hakatystycznych gazet, aby rozgłaszać jako napaść na szkołę i nauczycieli tę interwencyę rodziców w obronie ćwiczonych boleśnie dzieci w obronie, która jest najelementarniejszem prawem wszelkiego stworzenia żyjącego: przecież płazy nawet z narażeniem życia własnego stają w obronie swych młodych, a nie miałaby tego uczynić matka?

Mamy oddawna stos listów oryginalnych opisujących zajście we Wrześni. Wstrzymujemy się z ich publikacyą, aż do chwili wytoczenia procesu nauczycielom i wyświetlenia sprawy na drodze prawnej.

Dziś zaś — pisząc ogólnie o stosunku dzieci naszych do szkoły pruskiej — z tego dramatu wrzesińskiego ogłaszamy jeden tylko nieznany dotąd szczegół. Jest on tak znamienny, że i na długo — długo oskarżać będzie przed sądem dziejowym ludzkości system szkolny w dzielnicach polskich.

Oto do szkoły we Wrześni uczęszcza wątły chłopczyna polskiej narodowości. Do nauki w obcym języku umysł jego naginał się z trudem i wysiłkiem, a pierwszemi plagami, które nań spadły, czuł się tak wylękniony, że w domu wypłakiwał po kątach, a nawet do rozrywki z rówieśnikami brakło mu swobody, bo wciąż uczuwał grozę na wspomnienie szkoły.

To naturalnie tylko pogorszyło uzdolnienie do nauki. Na chłopca sypały się coraz to częstsze i coraz surowsze kary. Raz wraz zamykano go po lekcyach w areszcie. Brał bicie za nieuwagę, to znów za zapomnienie, to za nienauczenie się lekcyi, to za niezrozumienie słów niemieckich...

Chłopczyna bladł i wiądł, a często odzywał się do matki, idąc do szkoły: „mamo, ja wolałbym skoczyć w wodę niż iść do szkoły, bo tam tak biją.“ —

A chłosty nie ustawały. Nauczyciel twierdził, że zasługuje na nie. Może...

W końcu już chłopiec strwożony i zdenerwowany jadł coraz mniej. Razu pewnego poszedł do szkoły nie tknąwszy śniadania; poprzedniego dnia kolacyi jeść nie chciał, a wciąż płakał.

Matka wreszcie poszła po niego do szkoły, aby wytłomaczyć nauczycielowi, że jest może chory i ażeby go zabrać mogła do domu.

Nauczyciel jej żądania nie wysłuchał i wezwał ją, aby wyszła ze szkoły, ale ona siadła obok chłopca i oświadczyła, że się nie ruszy, bo jej jako matce troska o zdrowie i życie dziecka jest najbliższą.

Na to nauczyciel pogroził jej, że jeśli nie wyjdzie dobrowolnie, to zawoła inspektora szkolngo.

„A poślijże pan po kogo pan chcesz — ja mojego dziecka nie opuszczę.“ Tak odparła matka. Przyszedł inspektor i starał się ją nakłonić, aby opuściła budynek szkolny; ona zaś znów zażądała zwolnienia chłopca, mówiąc, że przez pół dnia nic w ustach nie miał. Ale inspektor w pierwszej

chwili również do żądania matki się nie przychylił.

W tej chwili dał się słyszeć płacz jej dziecka, a ona wyciągając ręce ku Chrystusowi, który wisiał rozpięty na krzyżu, zaczęła się w głos modlić, „*aby Pan Jezus jej dziecko zabrał do Swej wiekuistej chwały.*“

Inspektor tym widokiem wzruszony zapytał, czy ona na seryo tak myśli, jak mówi, a ona wybuchając płaczem raz jeszcze zawołała: „*Na rany Chrystusa, wolę, aby mi dziecko na miejscu skonało niżby miało powoli marnieć...*“

Wtedy inspektor kierując się rozsądkiem wziął za rękę chłopca i matkę i wyprowadził oboje z budynku szkolnego.

Zapytujemy, jakże się to zgadza ów system szkolny z poczuciem ludzkości, gdy matka rozżalona wzywa Niebiosa, aby raczej śmierć zesłały jej dziecku!

Ha, cóż, kiedy polityka tego wymaga. Stłumić trzeba słowa, co się gwałtem cisną na usta. Zkąd wreszcie zaczerpnąć słów, aby wyrazić w piśmie to, co z ust chyba w formie jęku wyrwać się może?

A takich łez jak tamte, co owa matka we Wrześni przelała, dużo płynie dziś na ziemi polskiej. — Wszelako łzy te nie przeminą bez śladu. One spłyną do serc i rozpalać będą do nowych uczuć, do nowych zapałów.

Łzy te to perły w cierniowej narodu koronie, perły, które z bolów naszych skrysztalone, świetnemi blaskami mają rozświetlać chmurne jutro, chronić nas od zwątpienia i rozpaczy. I z tą koroną, operloną łzami naokół skroni, stąpa po polskich łanach anioł nadziei i wiary i z uśmiechem niebiańskim na ustach zagląda pod każdą strzechę i pociesza i otuchy dodaje, a wskazując na perły promienne w cierniowej koronie, mówi: nie upadajcie na duchu, oto patrzcie, z tych pereł świetlanych, z waszego smutku poczętych, błyśnie kiedyś zorza lepszej przyszłości... *Vester*

## Nie chcemy posłów-Niemców!

(Głos z Górnego Śląska.)

Przypatrzmy się najpierw, jakto posłowie niemieccy, których lud górnośląski wysyła do Berlina, jako swych reprezentantów, bronią jego spraw narodowych i politycznych.

Na germanizacyę przez niemieckich księży, która jest jakby złośliwym pasożytem, co podcina narodowość polską ludu u samych korzeni — nadarmo byśmy chcieli usłyszeć skargi z ust obecnych posłów z Górnego Ślązka. Żądać od nich słowa krytyki tych niesłychanych stosunków, gdy śpiew polski z kościołów jest wyrzucany, gdy niemieckie kazania, niemiecka nauka przygotowawcza do sakramentów św. zaprawia umysły jadem germanizacyi — znaczyłoby to chcieć od nich, aby sami podcięli gałąź, na której siedzą. Przecież oni wszyscy zawdzięczają swe mandaty tylko temu systemowi, dzięki któremu germanizacya i w kościele szuka sobie swych ofiar.

O tej największej krzywdzie polskiego ludu milczą ci posłowie zupełnie.

Ten lud polski, dziś składający się przeważnie z ubogiej włościańskiej klasy i bezrolnych robotników, potrzebuje jednak obrońców i orędowników nietylko w sprawach takich, jak germanizacya przez niemieckich księży, ale i w sprawach zarobkowych, gdy chodzi o zapobieżenie wyzyskowi ze strony pracodawców i bogatych przedsiębiorców Niemców. Los robotnika fabrycznego, górnika w kopalniach, robotnika rolnego w polu, drobnego właściciela na zagrodzie włościańskiej jest dziś pożałowania godnym z powodu ucisku podatkowego, nizkich zarobków, drożyzny niesłychanej, przedsiębiorczości pracodawców-Niemców, którzy się tym polskim robotnikiem dorabiają milionowych fortun.

A czy posłów niemieckich z Górnego Ślązka widzimy kiedy, aby w sejmie lub parlamencie występowali w obronie tego wyzyskiwanego ludu? Nigdy. Widzimy wprawdzie jak zacny poseł Szmula rok rocznie ponawia starania, aby władze administracyjne nie stawiały trudności robotnikom polskim, szukającym pracy w rolnictwie i przemyśle, ale i to się dzieje przecież raczej przez wzgląd na wielkich przedsiębiorców i właścicieli ziemskich, którzy bez robotnika polskiego obejść się nie mogą. Tak więc lud górnoślązki wyrobił sobie mniemanie, że chociaż posłowie ci zawdzięczają swe mandaty poselskie polskiemu ludowi robotniczemu, to jednak czują się reprezentantami wielkich posiadaczy i przedsiębiorców niemieckich, a gdy zachodzi spór pomiędzy Polakiem-robotnikiem a Niemcem-przedsiębiorcą, stają zawsze po stronie przedsiębiorcy i wielkiego właściciela.

Jeśli jednak taką metodą rządzą się ci posłowie w sprawie krzywd ludu polskiego na polu językowem w szkole i w kościele, oraz na polu zarobkowem, to nie inaczej też sobie postępują tam, gdzie chodzi o upomnienie się i wytknięcie rządowi wszystkich tych przekroczeń, jakich się dopuszczają władze administracyjne pruskie mianowicie wobec wieców polskich i towarzystw. Ileż to razy zakazy zabawy, wydane w przeddzień naznaczonego obchodu rocznicy towarzystwa nietylko już ograniczają prawo stowarzyszania się, ale narażają na wielkie straty towarzystwa nasze na Górnym Ślązku? Ileż to kosztów podaremnie ponoszą Polacy na urządzanie teatrów amatorskich, które potem przez wójtów (amtowych) zakazywane zostają? A czy to odpowiada przepisom prawa, jeśli raz po raz przeszkody spotyka się w urządzaniu wieców i zgromadzeń? Mało to było wypadków, że później dopiero najwyższy sąd administracyjny rozstrzygnął, że policya nie miała prawa zrobić tego, co zrobiła? A tymczasem któż powróci wiecownikom ich fatygę, koszta i dzień zmarnowany, gdy napróżno z odległych parafii się schodzą, aby usłyszeć głos żandarma, że mają się rozejść do domów?

Te i podobne fakty, to przecież codzienny chleb nasz na Górnym Ślązku! A cóż na to mówią po-

słowie, wybrani przez lud polski i posłani na to, aby o krzywdy jego się upomnieli? Nic. Rzetelne nic. Oni są niemi i głusi wtedy, gdy lud polski się skarży, że urzędnicy stanu cywilnego przekręcają stare polskie imiona i nazwiska na niemiecką modę; oni nie słyszą skarg Polaków wtedy, gdy landraci tu i owdzie odmawiają koncesyi rozmaitym spokojnym mieszkańcom li tylko dlatego, że ci czytają gazety polskie!

Takie smutne położenie trwa już za długo, aby nie miał lud polski przyjść do przekonania, co go boli. Wybieranie Niemców na posłów gorzkie już przyniosło owoce i z dniem każdym coraz gorsze przynosi. Oto już się pojawiają projekty powiększenia floty i okrętów: za czyjeż to ma być pieniądze budowane, jeśli nie za pieniądze tego ludu? Podatki znowu się podniosą, chleb i bez tego podrożeje, a ci posłowie nie będą się krępować wcale wolą ludu, aby nie powiększać wojska i podatków, lecz oni tak postąpią, jak się z rządem ugodzą, bo oni przecież ogólne interesy niemieckie mają na oku, a o polską biedę się nie kłopocą.

Lecz w rzeczy samej i trudno im nawet robić z tego zarzuty: bo jak są Niemcami, to przecież Niemcami pozostać muszą choć im lud polski da mandaty. Na świecie zazwyczaj jedno głupstwo pociąga za sobą szereg innych: tak samo i tutaj te wszystkie żale i zarzuty z jednego głupstwa biorą początek, a mianowicie z tego, że nasz lud polski na Górnym Śląsku wybierał sobie Niemców na posłów.

Było to głupstwo, powtarzamy, bo od Niemca wcale ani żądać nie można, aby z swej skóry wylazł i potrzeby polskie zrozumiał. Owszem, ci posłowie sądzą, że wielce się przysługują naszemu ludowi, jeśli w sejmie i w parlamencie mówią o nim, że lud górnośląski nie jest wcale polskim i że to tylko agitatorowie z Wielkopolski go podburzają.

Większego już upokorzenia chyba znieść by nie mógł polski lud, że to polskie uczucie przywiązania do ojczyzny, które tli w jego piersi, podają we wzgardę nieprzyjaciół, jako sztuczny produkt agitacyi.

Teraz polski lud na Górnym Śląsku zawczasu się musi przygotować, aby mu nie narzucono znowu niemieckich przewodników. Dla posłów ludu polskiego jest miejsce nie w centrum, ani w żadnej innej partyi niemieckiej, ale w Kole Polskiem.

Już w motywach pierwszego statutu Koła Polskiego w r. 1859, — jak pisze dzisiajszy prezes sejmowego Koła Polskiego, p. dr. Henryk Szuman, — powiedziane było, że celem założenia Koła Polskiego jest wspólna i solidarna obrona polskości *w całem państwie pruskiem, w Księstwie, w Prusach Zachodnich i Wschodnich, oraz na Śląsku.* A w pierwszym paragrafie statutów Koła Polskiego czytamy, że do Koła należą *wszyscy Polacy zasiadający na krzesłach poselskich w Berlinie.* To też podług tego do Koła Polskiego należeli pierwsi posłowie, wybrani przez lud polski na Górnym Śląsku: ś. p. ksiądz Szafranek i włościanin Gorzałka. Starsi ludzie na Śląsku jeszcze pamiętają te czasy, gdy się to nie na Niemca, tylko na swego głosowało. Potem dopiero przyszli centrowcy i rozsiedli się w miejscach, Polakom przynależnych.

Lecz i później nie zamierała myśl, że przecież Górny Śląsk i Księstwo Poznańskie to jednej matki dzieci, i że polski lud tu i tam jest wszędzie jednaki. W roku 1868 polski centralny komitet wyborczy w Poznańskiem ogłosił wyraźnie, że uważa za swój obowiązek rozszerzyć swą działalność i *wciągnąć w zakres prac wyborczych ludność polską Prus Wschodnich i Górnego Śląska.*

Dziś, gdy lud polski przejrzał, czas w czyn zamienić te plany ojców naszych. Dziś czas już nadszedł, abyśmy się wszyscy Polacy połączyli ku wspólnej obronie praw naszych.

Jakkolwiek Koło Polskie nie może wiele zdziałać na obronę polskiej ludności, to przecież ono tylko zanosi protesty i skargi, i ujmuje się za pokrzywdzonymi, gdy są Polakami. Ale jakże może występować w obronie Górnoślązaków, jeśli lud polski z Górnego Śląska nawet jednego posła polskiego nie wysyła do Berlina. Stąd też pochodzi, że niektórzy nawet sądzą, iż lud polski jest zadowolony ze swych przewodników niemieckich: bo któż ma informować o rzeczywistym stanie rzeczy? Dlatego też i dotychczas posłowie polscy, należący do Koła Polskiego, niezawsze słuszne zajmowali stanowisko wobec braci-rodaków na Górnym Śląsku, bo te ciągłe wybieranie Niemców na posłów niejednemu już nawet i rodakowi może zupełnie błędne wyobrażenie dać o tem, co ten lud czuje i czego pragnie.

Rozpatrzyliśmy jak się zajmują Polakami na Górnym Śląsku ich dotychczasowi posłowie: a przyjrzawszy się temu, wołamy z całych sił:

*Nie chcemy Niemców na naszych posłów! Chcemy tylko Polaków,* i to Polaków takich, którzyby ten swój polski charakter wnieśli ze sobą do sali obrad, którzyby występowali publicznie jako Polacy, a nie zostawili czasem swej narodowości za progiem, wchodząc do parlamentu!

*B. M.*

# Nasza samopomoc.

Kultura europejska czasów obecnych, ta wysławiana i uwielbiana, co już prawie szczytu swej potęgi dosięgła, ma jednak wielką ciemną plamę, której chyba nic już zatrzeć nie zdoła: Otóż trzymilionowy odłam narodu posiadającego i historyą chwały pełną i literaturę świetną, mogącą z literaturą każdego innego narodu śmiało iść w zawody, naród ten żyjący w jednem z najwyżej ucywilizowanych państw, łamać się musi w najwyższem natężeniu sił z rozlicznemi przeszkodami wrogiemi, ażeby język swój, wiarę praojców i charakter plemienny przekazać nieskażone przyszłym pokoleniom.

Bezpośrednio po wydaniu złowrogich rozporządzeń ministeryalnych rozbrzmiało milionowem echem po całej Wielkopolsce hasło samopomocy, a dziś jeszcze brzmi jako nawołująca wszystkich do wspólnej obrony pobudka na licznych wiecach, gdzie już nie zwykli prowodyrowie narodu, ale lud sam do zdwojonych obecnie obowiązków wzajem się zagrzewa i sam nad sposobami ocalenia radzi.

Dowodów na to zapewne nie potrzeba, że dziecko w dzisiejszej wychowane szkole, z bardzo pustą głową ją opuści, bo nie znając dostatecznie wykładowego języka, zaledwie liźnie tylko wiedzy, ale jej sobie nie przyswoi; zasad zaś wiary i języka ojczystego wcale nie pozna. Pierwszym zatem czynem samopomocy musi być praca rodziców i starszego rodzeństwa po domach polskich, praca, do której jako niezawodne a wypróbowane narzędzia służyć winny katechizm, elementarz polski i książka polska.

Wierzymy, że temi środkami samopomocy posługują się dziś domy polskie, nawet najbiedniejsze i najskromniejsze, w przeważnej części, bo rodzic polski, chociażby prostaczek, nie da swej rodzinie wydrzeć tego, co za skarb narodowy uważa. Nie sądźmy jednakże, iż na tem samopomoc nasza ograniczyć się może, że spełnienie tych elementarnych potrzeb już szkołę zastąpić zdoła. O, nie; wszakże szkoła nie tylko czytać i pisać nauczyć winna dziecko, ale ma jeszcze rozszerzyć jego horyzont myśli, ma zapoznać je z historyą, geografią i innemi przedmiotami, ma dziatwie przyswoić jak najwięcej z bogatej skarbnicy wszechwiedzy.

Nie możemy od rodziców wymagać, ani się też w ogólności po nich tego spodziewać, żeby w domach swoich zadania szkoły w najszerszym wypełniali zakresie; tu pomagać powinna inteligencya nasza, ale na całej linii, bez wyjątku, tak po stolicach, jak po miastach, miasteczkach i siołach — tu cały naród, jako jedna wielka rodzina do samopomocy, do dzieła obrony garnąć się powinien.

Nie wystarcza praca inteligencyi po stowarzyszeniach terminatorów, czeladzi, przemysłowców i innych, jakkolwiek praca ta jest chwalebną i zaszczytną; nie wystarcza, bo z niej tylko jednostki korzystać mogą, a tu cały naród potrzebuje oświaty. Nie wystarczą też czytelnie ludowe same, jakkolwiek i one w pracy nad oświatą ludu poczesne zajmują miejsce, nie wystarczą, bo niczem zastąpić się nie da żywego słowa, które też i do czytania zachęcić zdoła. *Wykłady ludowe* — niezbędne dziś dopełnienie samopomocy narodu, w którem działać powinna inteligencya wszelkich stanów i zawodów.

Spojrzmy na Poznań. Otóż gronko ludzi dobrej woli i gorącego serca stworzyło instytucyą, która, pomimo niedawnego życia stała się jakoby integralną częścią pracy społecznej i już bez niej odczuwałoby Poznańskie społeczeństwo wyłom dotkliwy. Wykłady ludowe imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu uważamy dziś już za rzecz potrzebną, za rzecz naszą swojską, rodzimą.

— Ale — powie może nam niejeden — co się udaje w Poznaniu, udać się nie może po miastach i miasteczkach naszych, bo.... — bośmy się już potrosze zarazili niepolską flegmą, bo trudno nam wzbić się tam „kędy zapał tworzy cudy, nowości potrząsa kwiatem!“

A powinno się dzieło takie udać i na prowincyi byle ułatwić sobie zapoczątkowanie, bo w każdym zakątku naszej Wielkopolski dość mamy, chwała Bogu, inteligencyi, która może i powinna udzielać swej wiedzy mniej światłym braciom. Nie potrzeba zakładać towarzystw specyalnych, bo to niepotrzebne sprawia trudności, wystarczy policzyć swoje siły miejscowe, porozdzielać między sobą materyał i przystąpić do czynu. Ten się zajmuje specyalnie historyą, tamten znowu literaturą, ów naukami przyrodniczemi itd. itd., więc nie trudno o temat, nie trudno o siły. Uprzytomnijmy sobie tylko, jak to podniosły dobrobyt i oświatę wśród włościan naszych Kółka rolnicze; dlaczego? bo żywe słowo przemawia inaczej do rozumu i serca, niż najlepsza książka. A przytem i korzyść nie mała dla inteligencyi, pominąwszy zadosyć uczynienie, że się coś dla drugich zrobiło, bo wykłady ludowe to najlepsza szkoła dla przyswajania sobie wymowy, tak ważnego w pracy społecznej przymiotu.

Choćby z początku mało uczęszczało słuchaczów na wykłady, nie powinno to od dalszej pracy odstraszać; coraz więcej ich przychodzić będzie, bo przykład pociąga, coraz więcej jednostek wykłady odwodzić będą od kieliszka i marnowania drogiego czasy, bo nasz naród żądny wiedzy i oświaty.

Nie traćmy nadziei! Zobaczymy, co nam przyniosą zimowe wieczory. Czas już teraz myśleć nam, inteligencyi, o tej ważnej sprawie, wszakże kultura pruska sama nam wciska do dłoni kaganiec oświaty, uchwyćmy go więc rączo i rozjaśniajmy drogi narodowi, który żyć pragnie i będzie, bylebyśmy światła mu nie skąpili.

*Amicus.*

# Z dziejów kulturkampfu.

I.

Obecny stosunek rządu do duchowieństwa katolickiego w dzielnicach polskich, ujawniający się w rewizyi kościołów przez żandarmów, w pominięciu władzy duchownej przy zaprowadzeniu języka niemieckiego w nauce religii, ten szereg napaści w prasie niemieckiej, które codziennie niemal pojawiają się wobec naszego czcigodnego duchowieństwa — to wszystko razem wzięte przypomina tak żywo minione dzieje — *kulturkampf* — że porównanie tych obu epok dziejowych w historyi Księstwa Poznańskiego samo się niemal ciśnie pod pióro.

Jak dziś powodzenie światowe przemysłu i handlu niemieckiego, tak po roku 1870/71 tryumfy wojenne napełni-

ły Prusy wygórowanem poczuciem potęgi własnej i były moralną pobudką do podjęcia na polu polityki wewnętrznej walki na śmierć i życie przeciwko wszystkim elementom, które stały w jakikolwiek sposób w sprzeczności z bezwarunkową przewagą idei państwowej na każdem polu.

Jedną z największych przeszkód w ogarnięciu wszystkich sfer życia polityczno-społecznego przez ideę państwową pruską znalazły Prusy w organizacyi kościoła katolickiego. Zwłaszcza wobec kwestyi narodowościowej w polskich posiadłościach Prus, ta organizacya kościoła, znajdująca swój najdoskonalszy wyraz w zależności od Rzymu, z pominięciem hierarchii państwowej, wydawała się wrogiem, któremu Bismark postanowił walkę wypowiedzieć i bezwarunkowo go ujarzmić.

Niebawem po wojnie francuzkiej na horyzoncie politycznym zaczęły się ukazywać rozmaite oznaki zbliżającej się burzy. Bismark, mistrz jakich mało, we wpływaniu na opinię publiczną za pomocą prasy, zaczynał już powoli przygotowywać teren przyszłej walki. Ogłoszenie nieomylności Papieża było hasłem do powszechnej krucyaty przeciw katolicyzmowi. Liberalne dzienniki, inspirowane umiejętną dłonią reżysera, nie czuły nawet, że spełniają rolę statystów. Szeroko i długo rozprawiać poczęto w prasie o tem, że przez ogłoszenie nieomylności kościół katolicki zmienił swą istotę; że władza papiezka niebezpieczną się stała dla państwa; że Papież, opanowany przez Jezuitów i ultramontanów wdziera się w świeckie prawa państwa i t. d.

Gdy opinia publiczna, jak się zdawało, dostatecznie już była przygotowana, rząd rozpoczął walkę. Pierwszym niejako strzałem było zniesienie katolickiego wydziału w ministerstwie wyznań, a niezwłocznie potem wzięcie w obronę ks. Wollmanna, ekskomunikowanego przez kościół nauczyciela religii, w gimnazyum w Brunsberdze.

Już ten ostatni fakt w zupełności odsłonił zamiary rządu: rząd chciał w swoje ręce zagarnąć najwyższą decyzyę rozstrzygającą w rzeczach sumienia i wiary; minister miał rozstrzygać, czy biskup, ekskomunikujący kapłana, mylił się, lub nie.

Zaraz potem przeszło w sejmie najpierw w Bawaryi, potem w cesarstwie niemieckiem *prawo o ambonach*, — którego skutków doznali w Księstwie księża: ks. Akoszewski, ks. Samarzewski, ks. Różański, ks. Stagraczyński, ks. Gieburowski, ks. Janke.

W lutym 1872 r. nadeszło dalsze prawo, posuwające walkę w tym samym kierunku: prawo o inspekcyi szkolnej, otwarcie skierowane przeciw powiązaniu narodowości polskiej z wyznaniem, zarzucające księżom katolickim, że używają swych wpływów jako inspektorowie szkolni ku podtrzymaniu polskości: państwo samo dla siebie wyłączny chciało posiadać przywilej kierowania wychowaniem i kształceniem dzieci; przymus szkolny od 6-go roku życia dziecka oddawał je zupełnie w ręce rządu.

W maju 1872 r. przyszło prawo przeciw Jezuitom i innym zakonom, w listopadzie zaś tego samego roku wydane zostało przez rząd rozporządzenie co do wykładowego języka w nauce religii.

Rozporządzenie to przypomina zupełnie najnowsze reskrypty kasujące naukę języka polskiego, których byliśmy w ostatnich czasach świadkami.

Od czasów instrukcyi ministeryalnej z d. 24-go maja 1842 roku administracya pruska w Poznańskiem stale się trzymała tej zasady, że „nauka religii miała być udzielana każdemu uczniowi w jego ojczystym języku.“ Wzmianki godnych odstępstw od tej zasady wogóle nie było. Dopiero walka kulturna i na tem miała swoją pieczęć wycisnąć.

Prawo, kasujące wykład polskiej religii, było wynikiem obrad zwołanej w początku listopada 1872 r. konferencyi do Poznania. Konferencya miała „ułożyć zasady, które interesowi państwowemu dadzą rękojmię, że we wszystkich szkołach uwzględnianą będzie potrzeba popierania kultury niemieckiej.“

Pozytywny projekt konferencyi postawił za zasadę, że „język niemiecki ma być uznany za wykładowy we wszystkich przedmiotach nauki i to od najniższej klasy począwszy.“

Opierając się na tem rząd zadekretował, iż od Wielkiejnocy 1873 ma być zaprowadzony powszechnie niemiecki wykład religii.

Rozporządzenie to wywołało niezmierne oburzenie w społeczeństwie polskiem. Oburzenie to tem więcej wzrosło, gdy stało się jawnem, że rząd berliński wydał swój dekret po nad głową zwierzchnika hierarchii kościelnej, który z natury rzeczy, jako strona interesowana, miał niezaprzeczone prawo głosu w sprawach dotyczących nauki religii.

Wydawało się niepojętem, jak mogło być wydane podobne rozporządzenie z pominięciem arcybiskupa Ledóchowskiego, którego dobre stosunki z dworem berlińskim były faktem niewątpliwym. W szeregu gremialnych petycyi, ojcowie rodzin, pokrzywdzonych przez zaprowadzenie niemieckiej nauki religii, zawezwali pomocy Arcybiskupa, aby „nie pozwolił na udzielanie dzieciom nauki religii w niezrozumiałym dla nich języku.“

Wobec tego Arcybiskup zwrócił się, ufny w swe dobre stosunki z dworem — wprost do króla z prośbą o cofnięcie rozporządzenia. Odpowiedzi nie otrzymał, zakomunikował mu tylko minister oświaty, że w wydaniu rozporządzenia kierował się wyraźnym rozkazem gabinetowym.

Również bezskuteczną była interwencya parlamentarna. Poseł Wierzbiński, który w imieniu Polaków wniósł interpelacyę w sejmie w lutym 1873 otrzymał od ministra wyznań, Falka, odpowiedź, że „rząd nie może przyłożyć do tego ręki, aby uczniowie narodowości polskiej mieli być wyłączeni od korzystania z języka niemieckiego.“

Ani energiczne przemówienie posła Mallinckrodta w obronie ogólno ludzkiego równouprawnienia, ani obrona praw kościoła katolickiego, przeprowadzona przez bezstronnego konserwatystę, posła Gerlacha, nie wywołały pożądanego rezultatu. Rząd trwał przy swojem. Rozbiły się również i rokowania, nawiązane pomiędzy Arcybiskupem a prowincyonalnem kolegium szkolnem.

Zbyt świeże są te przejścia, a większość dokumentów politycznych, oświetlających tę sprawę ze strony zakulisowej, zbyt jest niedostępna, aby dziś można powiedzieć napewno, jakie pobudki wewnętrzne skłoniły Arcybiskupa Ledóchowskiego do użycia tak energicznego środka i takiego rozcięcia sytuacyi potęgą swego arcypasterskiego dekretu, przed którym w podobnej sytuacyi cofnęłoby się zapewne dziewięciu z pomiędzy dziesięciu: może to było przekonanie, że innego sposobu ratowania zagrożonych interesów wiary niema — może poczucie wysokiego dostojeństwa, którego powagi uronić przez bezczynność wobec Prus nie było można — może i odpowiednia wskazówka działania z Rzymu — dość, że Arcybiskup Ledóchowski na ataki z Berlina odpowiedział potężną bronią: dnia 23go Lutego 1873 roku wydany został arcypasterski okólnik do nauczycieli religii w wyższych zakładach naukowych, z nakazem, „aby nauki religii udzielali uczniom klas niższych w ich języku ojczystym,“ zarazem jednak pozwolił, aby w wyższych klasach udzielali religii po niemiecku „dopóty, dopóki nie zmieni się ubolewania godny, wolność sumienia ograniczający porządek obecny.“

Rozporządzenie to Stolica Apostolska potwierdziła brevem z dnia 24-go maja 1873 r.

Starcie władzy państwowej z duchowną ze stadyum ukrytego przeszło w fazę ostrą. Bismark natrafił na opór. Lecz ustąpić nie myślał: tu dopiero raczej rozpoczął walkę.

Na rozporządzenie Arcybiskupa odpowiedział rząd okólnikiem do dyrektorów zakładów naukowych. Nakazał im,

aby „nauczycieli religii spowodowali do oświadczenia, czy zamierzają poddać się rozporządzeniu Arcybiskupa, czy władzy państwowej.“

Tym, którzyby się oświadczyli za rozporządzeniem Arcybiskupa, miano zapowiedzieć złożenie z urzędu od 1 kwietnia.

Wszyscy nauczyciele, jako kapłani hierarchicznie obowiązani do posłuszeństwa wobec swego zwierzchnika, oświadczyli, że do rozporządzenia Arcybiskupa w sprawie języka wykładowego w nauce religii bezwarunkowo się zastosują.

Stracili posady. Rząd wyznaczył świeckich nauczycieli do udzielania nauki religii. Rząd chciał postawić na swojem. Zatarg coraz bardziej się zaostrzał.

Lecz Arcybiskup jeszcze nie wyczerpał środków obrony. Do nauczania religii potrzebną jest dla osób świeckich *missio canonica.* Tej misyi kanonicznej, potrzebnej do nauczania religii Arcybiskup nauczycielom świeckim nietylko nie udzielił, ale nadto zagroził im surowemi karami kościelnemi w razie, gdyby, nie posiadając „misyi“ chcieli się podjąć nauki religii.

Rząd został ubezwładniony: w wielu zakładach zaprzestano wobec tego zupełnie nauki religii. Na petycye, domagające się zaprowadzenia nauki przez duchownych, rząd wcale już uwagi nie zwracał.

Zaniechanie nauki religii w szkole nałożyło na duchowieństwo obowiązek pamiętania o tej nauce — po za szkołą. Zorganizowano więc z ramienia władzy arcybiskupiej prywatną naukę religii.

Ten stan rzeczy był zbyt jawną porażką rządu, aby ministeryum długo go znosić mogło. Niebawem też ukazało się rozporządzenie naczelnego prezesa Księztwa, Günthera, zabraniające uczniom wyższych zakładów naukowych uczęszczania do „prywatnych szkół nauki religii“ i grożące im wydaleniem ze szkoły w razie nieposłuszeństwa.

Przeciw temu posypały się protesty, lecz rząd, oparty na sile, rozporządził zamknięcie przez policyę „prywatnych szkół nauki religii“ i zagroził surowemi karami za „bezprawne nauczanie.“

Tak żelazną baryerą swych policyjnych dekretów „kulturny“ rząd pruski odgrodzić chciał ludności polskiej dostęp do nauki — pacierza po polsku! Przypomina się nam tu już wyraźnie Dobrzyca i rewizya, dokonana w kościele w poszukiwaniu „tajemnej szkoły.“

Czasy kulturkampfu się wracają, historya się powtarza!

Nic nie pomogła nowa interpelacya posłów polskich, wniesiona i uzasadniana przez posłów Łubieńskiego i Jażdżewskiego: rząd miał większość po za sobą i śmiało kroczył od tych czynów — do innych, bardziej jeszcze ujawniających rodzaj *kultury,* jakiej chciał być krzewicielem.

*Dr. Kazimierz Rakowski.*

# Z blizka i z daleka.

**Galicya** spłaciła dług wdzięczności cieniom męża, którego życie i czyny zaważyły poważnie na szali losów i przyszłości, nie tylko podkarpackiej ziemi, ale monarchii rakuskiej, z którą losy ją sprzęgły. Dnia 27 z. m. odsłonięto we Lwowie z wielką uroczystością wspaniały pomnik byłego ministra i namiestnika Galicyi, hr. Agenora Gołuchowskiego. Pomnik, przedstawiający wielkiego męża stanu w postawie stojącej, na wysokim piedestale, ozdobionym z trzech stron płaskorzeźbami, a z frontu postacią kobiecą, podającą wieniec laurowy Gołuchowskiemu, wyszedł z pracowni Godebskiego. W uroczystości odsłonięcia pomnika wzięli udział przedstawiciele władz krajowych, wysokie duchowieństwo, senat akademicki, profesorowie politechniki, posłowie sejmowi, wojsko, bardzo liczna publiczność oraz minister spraw zagranicznych, hr. Agenor Gołuchowski, syn byłego namiestnika, z całą rodziną.

Uroczystość zagaił marszałek krajowy, Stanisław Badeni, dłuższą przemową, w której scharakteryzował zasługi położone przez Agenora Gołuchowskiego dla Galicyi. Następnie odczytał nadesłany przez cesarza Franciszka Józefa telegram.

* * *

**W sezonie** kąpielonym, gdy „bady“ niemieckie roją się od kuracyuszów polskich pomimo, że język polski wszędzie najgorzej jest traktowany, zwrócić należy uwagę ogółu na mało uczęszczane jeszcze przez kuracyuszów z zaboru pruskiego Zakopane.

Obecnie przybywa do Zakopanego tygodniowo około 150 osób, lecz cyfra ta będzie coraz szybciej iść w górę i są widoki, że w tym roku punkt kulminacyjny, tj. moment, w którym cała stacya klimatyczna będzie zapełniona „po brzegi“, zostanie osiągnięty prędzej, aniżeli w zeszłym. Podobno wystawa paryska wyrządziła wtedy Zakopanemu dotkliwą konkurencyę, i tylko dzięki niej nie udało się doprowadzić przy rocznem zamknięciu ruchu przyjezdnych do pełnej cyfry 10,000. Teraz spodziewają się tu powszechnie, że pożądana ta cyfra ukaże się z pewnością na tabliczce urzędu klimatycznego. W istocie, rok temu, ulice Zakopanego nie były tak gwarne, jak w tej chwili.

* * *

**Wypadkiem** dostał się nam do ręki afisz, rozdawany w „dniu niemieckim“ w Jarocinie, dnia 9 czerwca 1901. Na afiszu tym, wydawanym przez związek hakatystów pod tytułem: „Fest-Programm“ figuruje szereg zjadliwych artykułów przeciwko Polakom i rzekomo historyczne wywody, mające udowodnić, że Jarocin zdawna był rdzennie niemieckim. Ale te twierdzenia i wierszyki przeciwko Polakom niewiele by nas obchodziły, — bo cóżby robił hakatysta, gdyby nie miał hałasować na Polaków? — ale dziwi nas to, żeśmy pomiędzy kilku ogłoszeniami znaleźli na tym programie hakatystycznej zabawy ogłoszenie kupca Polaka z Jarocina, zaczynające się od słów:

CONDITOREI
L. Klauzynski, Jarotschin.

Nasi czytelnicy z Jarocina z oburzeniem donoszą nam o tej przyjaźni pana Klaużyńskiego z hakatystami.

* * *

**Bardzo ważny** wyrok wydała izba karna w Dysseldorfie nad Renem w sprawie polskich Towarzystw. Chodzi mianowicie o prawo udziału kobiet w zabawach. Oto co do nas o tem piszą ze strony interesowanej:

„*Gwiazda*“ wyprawiała dn. 10-go lutego swoją zimową zabawę. Tu sala napełniona, aż naraz wchodzi policyant i zakazuje tańca. A co teraz? Ale pomyślelim sobie: „Gości z długiemi nosami nie puścimy do domu. My Polacy mamy twarde kości, Bismarck nas nie zjadł, to i policya dyseldorfska nam nie poradzi“ i dalej w tany. Naturalnie był z tego proces, żeśmy, będąc Towarzystwem politycznem, wpuścili na salę niewiasty. Komisarz policyjny dowiódł nam uprawiania polityki z dwóch przemówień członków. Skazano przewodniczącego, jego zastępcę i sekretarza, każdego na 20 mrk. kary pieniężnej. W dniu 18-ym maja odbył się przed izbą karną sądu ziemiańskiego termin w drugiej instancyi. Tam uwolniono nas od kary i winy. Sąd zawyrokował tak: Towarzystwo „Gwiazda“ jest Towarzystwem politycznem. *Mimo to wolno Towarzystwu „Gwiazda“, jako i wszystkim Towarzystwom politycznym na zabawach i zebraniach swoich przyjmować niewiasty jako gości. Nie wolno im tylko przyjmować niewiasty na członków Towarzystwa.* Na wyrok ten zwracamy uwagę wszystkich Towarzystw, mianowicie też na Górnym Śląsku, tam bowiem najczęściej się zdarzają nieprawne ograniczenia wolności stowarzyszania się.

* * *

**Czytaliśmy** niedawno w pismach rozmaitych notatkę następującej treści, datowaną z *Gniezna:*

Szewc tutejszy, Walenty Kornatowski, stawał znowu przed izbą karną. Niedawno zasądzony został na karę za to, że nie posyłał syna na niemiecką naukę religii. Zapozwany w kwietniu przed sąd okręgowy, zachował się tak, że go skazano na 24 godziny aresztu. Ogromnie oburzony, stanął przed stołem w sali sądowej i krzyczał: „Nie ukaranoby mnie, gdybym był hakatystą. Psiekrwie Niemcy, czyż myślicie, że wolno wam z Polakami czynić wedle upodobania? Na dzień do aresztu! Czemu nie trzy dni lub tydzień! A może byłoby lepiej uciąć głowę! Wówczas musielibyście żywić moją żonę i dzieci. Cesarz jest dobrym, tylko ci psiekrwie urzędnicy są niegodziwi!“ Kornatowskiemu wytoczono proces o obrazę urzędników, a izba karna skazała go na 6 miesięcy więzienia.

Surowy ten wymiar kary bezwątpienia jest w zgodzie z kodeksem karnym — pruskim. Ale rzucamy pytanie, nad

którem zapewne izba karna nie obradowała: za co karać biedną żonę i dziatki pana Kornatowskiego, zabierając im na sześć miesięcy ich żywiciela?

Przyjaciół naszych w Gnieźnie prosimy o informacye co do położenia nieszczęśliwej rodziny, która może głód cierpi z powodu ostrego wyroku sądu, — a w razie potrzeby otworzymy składkę i odwołamy się do ofiarności publicznej, aby ulżyć losowi biednej rodziny podczas gdy w więzieniu będzie siedział jej żywiciel.

* * *

**„Kulturtregerzy między sobą“** — taki tytuł warto dać doniesieniu, które krąży obecnie po pismach niemieckich:

We wsi Gross-Oldendorf — jak pisze „Germania“ — zabił chłopiec szkolny nauczycielowi psa kamieniem. Ojciec posłał nauczycielowi list, w którym pisał, że szkodę wynagrodzi. Nauczyciel na list ten nie odpowiedział, ale chłopca nazajutrz tak zbił, że nieżywego odniesiono do domu. Matkę na widok trupa syna raził paraliż, a ojciec wziąwszy siekierę, pobiegł do szkoły, rozciął głowę nauczycielowi, a sam sobie także śmierć zadał.

* * *

**Socyalistyczne Towarzystwo wyborcze** założyli w Poznaniu polscy socyaliści. Przystąpiło do niego około 50 członków. Obok tego Towarzystwa istnieje podobne niemieckie w Księstwie Poznańskiem. Wybrano na zebraniu polskich socyalistów komisyą, mającą szerzyć agitacyą w całej Rzeszy niemieckiej wśród Polaków. Do tej komisyi należą znani „towarzysze“ Koczorowski, Kasprzak, Borowicz i Mielczarek.

* * *

**Rozwiązanie Towarzystwa.** Z Hali donoszą „Dzien. Pozn.“, że istniejące tamże akademickie Towarzystwo naukowe „Philomathia“ zostało na rozkaz sędziego uniwersyteckiego rozwiązane z powodu, że rząd pruski nie znosi, jak sędzia się wyraził, Towarzystw akademickich, w których tylko Polacy są członkami.

* * *

**Na zjeździe śpiewackim w Wągrówcu,** odbytym 29 i 30 czerwca, reprezentowane były Kółka z Kruświcy, Inowrocławia, Bydgoszczy, Nakła, Czarnkowa, Szubina, Janówca, Łekna, Rogoźna, Kłecka, Skoków i Poznania. Pierwszą nagrodę wzięło Koło Śpiewackie z Kruświcy, drugą Koło Śpiewackie z Poznania. Uznanie za dobre postępy w śpiewie odebrały Koła z Czarnkowa i Bydgoszczy. — Policya zakazała pochodu z dworca do lokalu zjazdu, tudzież do kościoła z muzyką i sztandarem i zamierzonego pochodu przez miasto. Zakazano też odegrania poloneza z „Halki“.

* * *

**Towarzystwo Przemysłowe w Jerzycach** obchodziło uroczystość piętnastej rocznicy założenia, na którą zaprosiło delegatów z wszystkich Tow. przemysłowych polskich. Zaproszenia miały dobry skutek, gdyż liczni delegaci przybyli w gościnę Towarzystwa. Rano odbyła się uroczystość kościelna na intencyą Tow., uświetniona poświęceniem nowego ołtarza św. Floryana w kościele jerzyckim, który Tow. własnym kosztem ustawiło.

* * *

**Klęska nieurodzaju,** jaka spadła w r. b. na rolników Królestwa Polskiego, jakkolwiek jeszcze dokładnie nie wymierzona, zaczyna już budzić objawy całkiem niepożądane. Dochodzą nas wieści, że w niektórych okolicach, zagrożonych widmem zupełnego nieurodzaju, właściciele folwarków ogarnęła niemal panika, skutkiem czego wiele majątków ma być wystawionych na dobrowolną sprzedaż. Zamiary takie, pisze „Gaz. Pol.“, możemy chyba przypisać jedynie chwilowemu przygnębieniu, z którego otrząsnąć się należałoby jak najrychlej. Trzeźwe i spokojne rozpatrzenie się w stosunkach ekonomicznych mogłoby nauczyć tych ziemian, że straty, poniesione wskutek nieurodzaju, przy pospiesznej sprzedaży majątku nie zmaleją.

* * *

**Wystawa rolnicza i przemysłowa** w Lublinie rozpoczęła się dnia 22 go czerwca. Jestto jedna z wielkich wystaw, w których udział bierze całe Królestwo Polskie, o ile oddalenie wschodnich części kraju nie dawało utrudnienia w przewozie okazów wystawowych. Zjazd wielki. Dział inwentarza żywego był bardzo liczny w okazy, a piękne co się zowie. Niechaj tutejsi rolnicy nie czytają okiem zadziwienia, że owa wystawa może być bogatą w dobór okazów przedstawiających rasy uszlachetnione doborem rozpłodników i hodowlą. — Królestwo Polskie nie potrzebowało, ani też nie brało pierwowzoru z rozwoju rolnictwa niemieckiego, a jednak godnie staje do konkurencyi z owym przechwalonym rozwojem niemieckim. Znawcy stosunków niemieckich, a tamtejszych polskich niesłychanie pochlebne dają świadectwo cenności okazów lubelskich. *Z.*

## Z TYGODNIA.

Po odwiedzinach cesarza Franciszka Józefa w Pradze nastąpiły inne uroczystości, niemniej podniosłe, niemniej dające żywy dowód politycznej odrębności Królestwa czeskiego — zlot Sokołów słowiańskich w Pradze.

Uroczystości Sokolskie, w których brał udział i Sokół poznański i Sokoły z Galicyi, są niejako świętem odrodzenia solidarności słowiańskich narodów. Dawno już solidarność ta nie odezwała się tak żywem i jednolitem echem jak tego roku w Pradze.

Solidarność ta jednak nie była *wyłącznością*: to znaczy, że zlot Sokołów słowiańskich był świętem zbratania się duchowego nietylko przedstawicieli świata słowiańskiego, ale i świata romańskiego. Przedstawiciele Francyi zjawili się w Pradze, aby wziąść udział w podniosłej uroczystości i zadokumentować, że ze światem słowiańskim świat kultury romańskiej iść może bratnio w zgodzie, nie znając zaborczych i wynaradawiających prądów.

Z Galicyi przybyło 250 Sokołów, z Berlina 5-ciu, z Wielkopolski 60-ciu. Byli też Chorwaci, Bułgarzy i Czarnogórcy. Jako delegaci Rosyi przybyli Czesi, osiadli w granicach państwa rosyjskiego. Z Paryża przyjechała deputacya Rady miejskiej. Ludność na stacyach kwiatami witała przejeżdzających gości.

W Pradze odbył się imponujący pochód Sokołów przez miasto. Wzięło w nim udział przeszło 12 tysięcy uczestników. Po pochodzie odbył się bankiet, na którym kolejno przemawiali burmistrz miasta Pragi, Dr. Srb., były burmistrz Dr. Podlipny, goście francuscy, oraz naczelnik związku Sokołów galicyjskich, Dr. Fiszer, wręczając srebrną gałązkę lipową. Wtedy chór Sokołów odśpiewał polski hymn narodowy, dalej zaś przemawiał Sokół poznański.

Wielkie wrażenie zrobiła mowa prezesa „Związku Sokołów polskich“ dr. Fiszera, wypowiedziana przy wręczeniu upominku dla Sokołów czeskich. Wszystkie pisma żywo ją komentują. I nic dziwnego, że słowa jego z pod serca wyjęte ogromne wywarły wrażenie. Posłuchajmy! „Przeszło sto lat temu zastosowano do nas dzikie, nieludzkie hasło „Siła przed prawem,“ hasło, które z cynizmem plwa w twarz wszystkim cywilizacyjnem dobytkom ludzkości, wszystkim ideałom, dla których żyli, pracowali i nawet męczeńską śmiercią ginęli nasi i wasi bohaterowie i całego świata myśliciele.

„Hasło to wydarło nam wszystko, co tylko narodowi wydrzeć można: dziś za nasze pieniądze i za naszą krwawiznę wydziera się nawet mowę ojczystą dzieciom naszym — zapewne z obawy, że gdy potrafią skarzyć się w języku własnym na ucisk, na niewolę, wołając „Ojcze! Ojcze!“ — to ten wielki Ojciec nasz gotów nas wreszcie wysłuchać!

„Ale nie mógł nam wydrzeć nikt i nigdy nie wydrze świadomości, że naród, liczny jak gwiazdy na niebie, a zdrowy u podstaw, jak lipy i dęby, rosnące na polach naszych, a czysty wiarą i miłością, jak woda w krynicach naszych i strumieniach, a jednolity, mimo rozdarcia, jak żelazo i sól w łonie ziemi naszej, że naród ten był, jest i będzie potężnym czynnikiem kultury....“

Śliczna ta mowa przyjęta była hucznemi oklaskami, których też nieszczędzo-



*Specyalne zdjęcie dla „Pracy“ przez Atelier fotograficzne „Rubens“ dawn. E. Mirska w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 3.*

**Poświęcenie kamienia węgielnego pod „Dom Przemysłowy“ w Poznaniu**

(dnia 1-go Czerwca 1901 r.)

no i Sokołom poznańskim, za przemówienie ich naczelnika.

Poznańscy Sokoli doznali niezmiernie życzliwego przyjęcia. Witano ich po drodze na każdej niemal stacyi; na kilku stacyach, jak np. w Kotlinie, czekały oddziały czeskich Sokołów z muzyką na czele, dworce były ozdobione biało-czerwonemi chorągwiami. Sokoli poznańscy złożyli wizytę gremialną sędziwemu przywódcy Czechów i przyjacielowi Polaków, Dr. Riegerowi.

Naturalnie, że uroczystości Sokole odbiły się echem złowróżbnem na łamach pism niemieckich, które w nich rade widzą zamącenie pokoju europejskiego. Dzieje się to w tym przypadku podług znanej recepty: we własnem oku belki nie widzą, a źdźbło widzą w oku bliźniego. Mianowicie tą belką słusznie każdy nazwać może nieudaną wyprawę chińską. Pomimo pastwienia się nad Chińczykami, obecnie, zaledwie wojska niemieckie opuściły terytorjum chińskie, Chińczycy zaczynają brać odwet za popełnione gwałty i teraz dopiero naprawdę mszczą się na Europejczykach. Jak donoszą z Pekinu, niedawno zamordowano tam czterech misyonarzy. Pierwotnie pogłosce tej nie dawano wiary, obecnie jednak zupełnie się ona sprawdziła. Na setki lat szerzenie chrześciańskiej wiary i zawiązywanie handlowych stosunków z Europą jest uniemożliwione przez niesłychany w dziejach „pochód zemsty“ europejskich bohaterów.

Obiegają pogłoski, że rząd niemiecki nosi się z zamiarami powiększenia liczby żołnierzy oraz okrętów. Widocznie rząd uważa, iż podatki są jeszcze za niskie, a obywatele mają za dużo pieniędzy. A może też chodzi o odwrócenie uwagi od krachów i fałszerstw niemieckich wekslowych? Znowu kilka banków trzasło, a dyrektorowie jedni za kratkami, a drudzy uciekli do Ameryki, inni poodbierali sobie życie. Oto wysoka kultura! Warto ją szerzyć — ale chyba na księżycu.

Były kanclerz niemiecki, książę Hohenlohe, umarł dnia 6-go b. m. w nocy w Ragacu, dokąd niedawno przyjechał na kuracyą. Za jego rządów doznaliśmy bardzo wiele udręczeń i prześladowań, on to dzięki swej inercyi dozwolił wyrość sobie nad głowę frondzie bismarkowskiej i hakatystycznemu rządowi pobocznemu. *K. O.*

## Przegląd prasy polskiej.

Do gazet polskich najbardziej obok „Pracy“ trapionych przez ustawiczne kary i procesy należy bezsprzecznie „Gazeta Grudziądzka.“ Niejednokrotnie też mieliśmy sposobność referowania o jej procesach. Naturalnie, że czytelnicy jej, tak samo jak i nasi, umieją ocenić ofiary składane przez redakcyę na ołtarzu dobra publicznego i za każde więzienie redaktorów potrafią odpłacić odpowiednią agitacyą ku zjednaniu nowych abonentów.

Obecnie w więzieniu siedzi redaktor „Gazety Grudz.“ pan Sobiechowski, który swą zapobiegliwością potrafił zjednać parę tysięcy nowych czytelników swej gazecie przez czas, gdy jej wydawca pan Kulerski był więziony. Obecnie, z powodu zmiany kwartału, tak się odzywa **„Gazeta Grudziądzka“** do swych czytelników i zwolenników:

„Prosimy was jeszcze raz jak najgoręcej: Nie opuszczajcie nas przecież w tym kwartale, który dla nas jest najcięższym, póki „Gazeta Grudziądzka“ istnieje. Jak wydawca nasz ślubował, że nie spocznie prędzej, aż w każdej chacie polskiej, w której jeszcze nie ma żadnej gazety polskiej, zagnieździ „Gazetę Grudziądzką“, tak niechaj wszyscy dzielni Wiarusy postanowią sobie, że nie spoczną prędzej, aż w każdej chacie rodzinnej wsi lub miasta zagnieżdżą „Gazetę Grudziądzką“. Ale aby cel ten osięgnąć trzeba przedewszystkiem, aby każdy jeden w tym letnim kwartale stał wiernie przy nas.

„Bracia Wiarusy! Doznaliśmy w tym czasie wielkiego smutku, kiedy redaktor nasz siedzi w więzieniu, w tym czasie wielkich kłopotów, kiedy wydawca nasz, aby popchnąć sprawę oświaty ludowej dalej a dalej na nieznane dotąd drogi, tak wielkie musi na barki swoje brać ciężary, tak wielkie zaciągać długi, w tym czasie doznaliśmy ze strony wielu z pośród was wielkiej pociechy. Dochodziły nas całe stosy listów, w których zapewnialiście, że wiernie przy nas stać będziecie, w dobrej i złej doli, i że nie wierzycie, aby się dziś jeszcze mogli znaleść ludzie niemądrzy, którzyby „Gazetę“ na ten kwartał letni porzucili. Niech Wam Pan Bóg za te poczciwe, złote serca wasze zapłaci!

„Lecz nie dość na tem, znaleźli się nawet tacy — a pomiędzy nimi nawet biedny robotnik z Królestwa Polskiego — którzy nam nawet datki pieniężne chcieli przysyłać na tę nową maszynę, co to ją nasz wydawca musiał zamówić.

„Bracia Wiarusy! Taka gotowość ponoszenia razem z nami ofiar dla oświecenia ciemnych jeszcze braci, wzrusza nas do głębi i wyciska nam łzy radości, bo pokazuje ona nam, czem jest „Gazeta Grudziądzka“ dla zacnych serc naszego ludu, pokazuje ona zawsze, jak tę obronicielkę Wiary św. i polskości gorąco pokochaliście, pokazuje ona nam, jak gorąco nasz kochany lud polski pragnie oświaty dla siebie i dla tych wszystkich co jeszcze w ciemności pogrążeni.“

Pragnienie wydawnictwa „Gazety Grudz.“, aby w każdej chacie polskiej zagnieździło się pismo polskie bardzo jest chwalebne i życzymy każdemu polskiemu pismu, które o to się stara, aby jak najprędzej dążenia te swoje urzeczywistnić mogło. Gdyby do każdego domu polskiego trafiła polska gazeta, prędzej by zapewne nastąpiło to, o czem pisze **„Wielkopolanin“** w ważnym artykuliku p. t. „Wybory zastępców gmin wiejskich do sejmików powiatowych:“

„Tak jak przy wyborach do sejmu pruskiego, rozróżniać więc musimy prawyborców wysłanników, których nazwiemy wyborcami, a którzy przy tych wyborach zowią się po niemiecku „Ortswähler.“

„Każda gmina wybiera jednego wyborcę (Ortswähler). Uprawnionym do głosowania w gminie prawyborcą jest każdy, kto posiada w niej na własność mórg najmniej 30 czyli 7,66 hektara, ma lat 24 i jest w posiadaniu praw obywatelskich. Małoletnich zastąpić może opiekun, żonę mąż, wdowa i każdy, który dla choroby lub innej przyczyny osobiście stawić się nie może, ma prawo udzielenia piśmiennego pełnomocnictwa do głosowania osobie, która w gminie odnośnej jest prawyborcą, ależ tylko takiej osobie. — Prawyborami temi kieruje (landrat) radzca ziemiański lub z upoważnienia jego komisarz obwodowy. Landrat dzieli powiat na okręgi, naznacza miejsce, dzień i godzinę zjazdu i powołuje wybranych wyborców (Ortswähler) do dokonania wyboru deputowanych na sejmik powiatowy i ich zastępców.

„Aby wybory te nader ważne po naszej wypadły myśli, koniecznem jest więc, aby na prawybory stawili się w każdej gminie wszyscy do głosowania uprawnieni i na takiego tylko wyborcę (Ortswähler) oddali głosy swe, który potem na wybory stawi się niezawodnie i tam nie dając ucha prośbom lub groźbom strony przeciwnej na rodaka deputowanego głosować będzie.“

Na Kujawach odbyło się walne zebranie Kółek rolniczych z powiatów inowrocławskiego i strzelińskiego. Miejscem zebrania był Inowrocław. O zebraniu taką treściwą relacyę daje **„Dziennik kujawski“**, który w kilku ostatnich tygodniach ogłosił szereg nader interesujących oryginalnych artykułów:

„Zjazd był liczny, około trzystu włościan i obywateli stawiło się, by powitać obu czcigodnych patronów i wysłuchać ciekawych odczytów. Zauważyliśmy w sali z gospodarzy pp. Józefa Królaka z Szymborza, Cięgoturę i Bogacza, obywatelstwo stawiło się w bardzo znacznej liczbie, zwłaszcza z okolicy Inowrocławia, nie brakło też oczywiście przedstawicieli duchowieństwa, które we wszystkich sprawach społecznych tak czynny biorąc udział, przykłada także rękę do rozwoju Kółek włościańskich. Z miasta, prócz członków Kółek, spostrzegliśmy kilku najwybitniejszych obywateli, tak iż można powiedzieć, że wszystkie warstwy społeczeństwa, ujawniły zajęcie się tą tak ważną instytucyą, która w życiu naszem społecznem ważną odegrała rolę i innym zaborom służy za chlubny przykład.

„O godz. kwadrans na piątą wprowadził p. wicepatron Dembiński z Węgiercc na salę sędziwego patrona p. Jackowskiego i powitawszy zebranie słowy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ zagaił zebranie. W serdecznem przemówieniu powitał p. wicepatron czcigodnego ojca Kółek, który lubo oddał kierownictwo Kółek w ręce p. Chłapowskiego, zawitał na Kujawy. Następnie zwrócił się do pana Chłapowskiego. Nowy patron po raz pierwszy gościł w naszem mieście, a przybywając do Ino-

wrocławia, umocnił rolników w przekonaniu, że o ile sił mu starczy, gotów iść w ślady swego poprzednika, pracować wśród ludu i dla ludu.

„Odczytawszy porządek dzienny, p. przewodniczący udziela głosu p. Wolskiemu, sekretarzowi Kółka w Tucznie, który odczytuje referat na temat: „Jak wobec ogólnej klęski rólniczej utrzymać inwentarz i zaradzić, aby wszystkim obowiązkom zadośćuczynić.“ Na wstępie p. Wolski podnosi, że gospodarze dużo marnują czasu, jeżdżąc do miasta dla załatwienia lada interesu lub na jarmark z przyzwyczajenia. Zwłaszcza spotyka się to między tymi, co nie należą do Kółek. Gromada, to wielki człowiek; uczęszczać więc trzeba na zebrania, aby tam uczyć się jeden od drugiego. Położywszy przycisk na korzyści, płynące dla gospodarzy z skrupulatnego prowadzenia książek, przechodzi p. W. do kwestyi utrzymania inwentarza, co da się uskutecznić przez zaprowadzenie reform. Referent zaleca oszczędność w wydzielaniu paszy i daje szczegółowy przepis jak karmić bydło i jak się z niem obchodzić, jak przestrzegać zdrowotności inwentarza i zarazem osięgnąć najlepszą podściółkę. Najlepszą ściółką jest słoma, lecz zwłaszcza w tym roku trzeba będzie ją zastąpić albo mchem, trocinami, igliwem albo — co więcej polecenia godnem — ziemię murszowatą i torfem, który poniekąd nawet lepszą od słomy stanowi podściółkę.

„A mierzwę z torfu lub próchnicy dobrze mieszać ze stajennym gnojem, ponieważ zawarty w nim kwas fosforowy łączy się z amoniakiem. Obora i gnojowisko winno być niejako fabryką nawozu, a nie jak to nieraz bywa, cuchnącem bagnem. Aby przysporzyć paszy na zimę, referent zaleca prześciełać liście buraczane z wytłokami, ponieważ mieszanina ta dobrze się przechowuje i jest dla bydła pożywniejszą. Zresztą tym sposobem rolnik będzie mniej potrzebował sztucznych nawozów, które mimo zniżoną taryfę, są dość kosztowne.“

Na tem urywamy relacyę „Dziennika kuj.“ nie mogąc więcej miejsca poświęcić opisowi zjazdu. Nadmieniamy tylko, że w tece redakcyjnej posiadamy przygotowany już do druku wyborny referat pana Józefa Królaka II z Szymborza, o obowiązkach gospodarza-rólnika, — referat, który niewątpliwie zainteresuje nietylko fachowców, ale i każdego, kto tylko z rolą ma styczność.

*B M.*

# Głosy od Przyjaciół.

*Poznań*, d. 1-go lipca 1901.

Szanowna Redakcyo!

Dopisek do „Facsimile“ Modlitewnika Nawojki podanego w numerze 26-ym „Pracy“, powoduje mnie do pewnego uzupełnienia, wyjaśniającego jak najdokładniej, jakim przypadkiem został przez ś. p. prof. Jana Mottego odkryty i przez wydanie go, może od zupełnej zatraty uratowany.

Opowiada o tem autor „Przechadzek po mieście“ w części V-tej na stronie 108 i 109 co następuje (powtarzając wiernie słowa samego zacnego wydawcy, który wydaniem „*Książeczki do nabożeństa św. Jadwigi* „czyli jak ją teraz nazywają książeczką *Nawojki* oddał literaturze polskiej wielką przysługę). Otóż pensyonarz ówczesny ś. p. profesora Jana Mottego, Gozimierski, przywiózł z sobą wracając z feryi, ciekawy antyk. Była to mała książeczka pisana, w drewnianej oprawie pociągniętej brunatną skórą z wytłoczonemi obustronnie orłami polskiemi, mieściła się zaś w srebrnej puszce, wiszącej na dwóch srebrnych łańcuszkach, na której prócz różnych ozdób, wyryte było po jednej stronie kółko z promieniami, po drugiej zaś napis łaciński orzekający, że to był modlitewnik (liber precarius), którego używa *Hedvigis ducissap*, że darowany potem przez kardynała Bernarda Maciejowskiego jego siostrzenicy Annie Wapowskiej, kasztelanowej przemyskiej, dostał się przez jej wnuka Stanisława Wachowskiego, Jezuitę, roku 1634 do tego kościoła. (Napis ten w Facsimile wiernie podany). — Jaki to kościół, niemożna już było odnaleść. również nieznanem zostało nazwisko Jezuity, po kasacyi zakonu zabrał ten antyk z sobą, a znalazłszy gościnny przytułek u dziadostwa, czy też rodziców Gozimierskiego, przekazał im go jako pamiątkę. Widząc tę książeczkę Jan Motty, uznał jej wartość i zachęcony przez Muczkowskiego, (współczesnego profesora gimnazyum Maryi Magd.), wydał ją jak najsumienniej, zachowując każdą literę, oraz dołączywszy dostateczną ilość kartek wiernej podobizny rękopisu. Tym sposobem zachował od zatraty jeden z najdawniejszych pomników języka polskiego, zwłaszcza, iż bogowie chyba powiedzą, co się teraz dzieje z oryginałem. Wzmiankowany Gozimierski w młodym stosunkowo wieku, przeniósł się do wieczności, komu zaś dał lub powierzył ową pamiątkę po jezuickim gościu, o tem nikt nie wie, lecz pewną jest rzeczą, że srebrne jej puzderko znajduje się pomiędzy rozmaitemi ciekawościami w królewskim zamku Fischbach, na Szlązku, mieszcząc w sobie podobno wydanie Mottego, zamiast starożytnego oryginału; słychać, że je ofiarowała królowej pruskiej Elżbiecie w podarunku panna Wołłowiczówna, wywdzięczając się za jakąś łaskę.

Tak się autentycznie ma sprawa z książeczką Hedvigis ducissae, którą wydał powtórnie 1875 roku syn młodszy profesora, Stanisław Motty.

Mniemam, że ta wzmianka o tak cennej pamiątce po księżnej Jadwidze a cennym zarazem zabytku literatury naszej, miłą będzie niejednemu czytelnikowi „Pracy“. *J. Nyklewicz.*

* * *

*Berlin*, 8 lipca 1901.

(Zjazd Kółek polskich śpiewackich okręgu broniborskiego (7 lipca 1901) i V-ta rocznica Tow. „Harmonii“ w Berlinie (6 lipca).)

Mieliśmy tu wczoraj piękną, podniosłą uroczystość polską. Zjazd śpiewacki z okręgu broniborskiego zgromadził na salach i w ogrodzie Kellera przy Köpnickerstrasse wielkie zastępy Polaków, ze wszystkich stanów. Liczono przeszło 1500 głów. Ze skupieniem i zrozumieniem słuchano pięknych pieśni naszych, wykonywanych bądź to przez poszczególne Koła, a więc „Harmonię“ berlińską, Koło moabickie, charlottenburskie, szpandawskie, bądź to przez zjednoczone chóry — a radość i duma bijące z twarzy słuchaczów, to znów głośne ich oklaski, świadczyły, że odczuwają i pojmują znaczenie pieśni, w której wedle słów poety składa lud „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.“

Kto miał sposobność śledzić występy naszych Kółek w przeciągu kilku lat ostatnich, stwierdzić musi niezaprzeczone, znaczne postępy, dowody szczerej, usilnej pracy. Znać je w występach „Harmonii“, która śpiewała wczoraj bez ubiegania się o nagrody (jako gosposia zjazdu), znać dobitnie w chórach towarzystwa szpandawskiego i w śpiewie małego liczebnie, ale jędrnego chóru charlottenburskiego, którego zespół coraz zwartszy i nadzwyczaj pewny. Sędziowie, (a było ich trzech, między nimi jeden z Poznańczyków przybyłych na obchód) przyznali pierwszą nagrodę Kołu charlottenburskiemu za „Śpiew z nad Wisły“, drugą szpandawskiemu za pieśń „Gdy w czystem polu.“ Z występów zjednoczonych chórów słusznie się podobało najlepiej odśpiewanie dziarskie a umiejętne kompozycyi B. Dembińskiego „Pamiętne dawne Lechity.“ Śpiewano dalej tegoż twórcy śliczne „Zaloty na Kujawach.“

Z występów „Harmonii“ chór mieszany (70 męzkich głosów i 50 żeńskich), śpiewający „Najpierwszą pieśń“ G. Jansena świetnym był popisem, i wprost olśnił publiczność, tak, iż zażądano koniecznie powtórzenia.

Premiowanie Kół odznaczonych odbyło się wśród ogólnego rozradowania.

W zjeździe nie mogło niestety wziąć udziału Kółko śpiewaków ze słowiańskiego niegdyś Broniboru, dziś niemieckiego Brandenburgu, ponieważ kilku członków chóru spełnia właśnie powinność wojskową.

Delegatów przysłały na zjazd berliński oprócz właśnie Kółka broniborskiego, Koła śpiewackie z Poznania (3), z Wągrówca (3) i z Bydgoszczy (2).

W przeddzień zjazdu, w sobotę, odbyła się przy udziale około 500 osób uroczystość 5-letniej rocznicy ruchliwego towarzystwa „Harmonii.“ Koło to, zjednoczone z istniejących poprzednio kilku pomniejszych Kółek. liczy obecnie przeszło 170 członków (120 męskich,) a rozwija się prawidłowo, dzięki podstawie, jaką mu dał kierownik do niedawna chóru, p. Władysław M., i zabiegliwej pracy prezesa.

Do uświetnienia obchodu rocznicy przyczynili się soliści, panna Weink., która odśpiewała Gounodowskie „Ave Maria“ i p. G., który ślicznym swym, dźwięcznym tenorem, czarował słuchaczów, śpiewając „Skrzypki swaty“ i aryę z recytatywem ze „Strasznego Dworu“ Moniuszki.

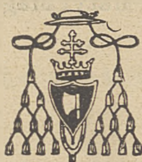
Słowem, za staraniem „Harmonii“, urządzającej tę dwudniową uroczystość, miała osada polska w Berlinie ucztę dla ucha i ducha, którą w pamięci wdzięcznej zachowa.

Ogółem brało czynny udział w zjeździe okręgu broniborskiego — choć nie było Kółka z Broniboru — blizko 200 śpiewaków i śpiewaczek.

*J. K.*

# Poczet duchowieństwa poznańskiego.

Celsissimus et Reverendissimus
Dominus Dominus
Najdostojniejszy i Najprzewielebniejszy



**Floryan Oksza Stablewski,**
Doktor św. Teologii, z zmiłowania Bożego i św. Stolicy Apostolskiej łaski
**Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański,**
tejże Stolicy Apostolskiej Legat urodzony, Tronu Papiezkiego Asystent i Hrabia Rzymski i t. d. i t. d. i t. d.

Sufragan Poznański
**Najprzewielebniejszy Edward Likowski,**
Doktor św. Teologii, Biskup aureliopolitański, wiceprezes Kuryi Arcybiskupiej, Wikaryusz jeneralny i Oficyał, Egzaminator prosynodalny, członek Akademii Umiejętności w Krakowie, Przełożony Zakrystyi Archikatedralnej.

## Prześwietna Kapituła.

Prałaci infułaci.

Proboszcz: X. Gustaw Wanjura, Dr. św. Teol., Protonotaryusz Apostolski, kawaler orderu Czerw. Orła III kl. i Korony król. II kl., radzca kuryi Arcyb., sędzia prosynodalny, Prezes Kuratoryum konwiktu, jener. komisarz Służebniczek NMP.
Dziekan: Najp. X. Biskup Likowski.

## Kanonicy gremialni.

1. X. Piotr Dombek, wielki penitencyarz.
2. X. Paweł Jedzink, Dr. św. Teol., prałat domowy J. Św., regens seminaryum duchownego, egzaminator prosynodalny, autor ksiąg, dyrektor dyecezalny Stowarzyszenia Kapłanów Ador. N. Sakr.
3. X. Kazimierz Szołdrski, Dr. prawa kośc. i Lic. św. Teol., tajny podkomorzy J. Sw., kaznodzieja archikatedralny, radzca konsystorski, sędzia i egzaminator prosynodalny, sekretarz Prześw. Kapituły.
4. X. Maciej Konstanty Krępeć, radzca konsystorski, prokurator Prześw. Kapituły.
5. X. Julian Echaust, radzca Kuryi Arcyb. i konsystorski sędzia i egzaminator prosynodalny, cenzor ksiąg.
6. X. Władysław Meszczyński, Dr. prawa kośc., prałat domowy J. Św., kapelan zakonu św. Jana Jerozol., kawaler orderu żelaznej korony austr. II kl. i orderu Fr. Józefa II kl.
7. X. Teofil Tetzlaff, radzca konsystorski, kawaler ord. czerw. orła IV kl., udekorowany medalem na pamiątkę wojny 1870/71 i na pamiątkę cesarza Wilhelma I.
8. Vacat.

## Kanonicy honorowi.

1. X. Marcin Friske, prałat dom. J. Św.. sędzia i egzaminator prosynodalny, oficyał i dziekan wałecki, cenzor ksiąg, proboszcz w Sypniewie.
2. X. Alfred Poniński, prałat dom. J. Św., dziekan inowrocławski, kawaler ord. czerw. orła IV kl., proboszcz w Kościelcu.
3. X. Jakób Krygier, dziekan śremski, proboszcz w Siemowie.
4. X. Robert Samberger, sędzia prosynodalny, dziekan nakielski, radzca duchowny, proboszcz w Nakle.

## Niższy kler archikatedralny.

Penitencyarze i kaznodzieje.

1. X. Kazimierz Michalski, dyrektor dyecezalny Apostol. Modlitwy, rządzca parafii archikatedr.
2. X. Stanisław Okoniewski, docent polskiego języka w seminaryum duchownem.

## Kolegium wikaryuszów.

1. X. Telesfor Nawrocki, wicedziekan i wicekustosz, kanclerz Kuryi Arcybiskupiej.
2. X. Kazimierz Miaskowski, Dr. św. Teol.
3. X. Michał Tomaszewski, kapelan Najp. X. Biskupa, docent śpiewu liturgicznego w seminaryum.
4. X. Roman Panewicz.

## Na dworze J. Arcybiskupiej Mości.

X. Stanisław Łukomski, tajny sekretarz J. A. M., docent liturgiki w seminaryum.

## Jeneralny Konsystorz Arcybiskupi.

X. Wikaryusz jener. i Officyał: Najprz. Biskup Likowski.
I Radzca: X. kan. Szołdrski.
II „ X. kan. Echaust.
III „ X. kan. Krępeć.
IV „ X. dziekan Kotecki.
V „ X. kan. Tetzlaff.
Obrońca prawa małż. i fiskal: X. prał. Warmiński.
Syndyk i konsyliarz: Dr. Ludwik Mizerski.
Skarbnik: Kalikst Ruciński.
Kalkulator I Waleryan Woydt, sekretarz Kuryi Arcyb.
Kalkulator II X. Stan. Okoniewski.
Dyrektor kancelaryi i ekspedycyi: X. Dr. Stan. Trąmpczyński.
Registrator: Bronisław Koltermann.
Asystent registratury: Józef Bartosiewicz.
Kancelista I: X. Wincenty Dutkiewicz
„ II: Stan. Ryffert.
„ III: Kazimierz Różański.
Woźny: Bolesław Łopiński.

## Seminaryum Duchowne

Profesorowie.

1. X. kan. Jedzink, prof. Teol. moralnej.
2. X. Ignacy Warmiński, Dr. św. Teol. prałat dom. J. Św., prof. Teol. dogmatycznej i fundamentalnej.
3. X. Teodor Klopsch, Dr. św. Teol. i Fil., radzca duchowny, prof. historyi kośc. i prawa kanon.
4. X. Wład. Hozakowski, Dr. św. Teol., prof. eksegesy.
5. vacat.

## Prokurator seminaryum.

X. Józef Kosicki, radzca duchowny.

## Konwikt chłopców:

1) Arcybiskupi:

Prefekt: X. Albert Beyer, nauczyciel religii przy gimnazyum realnem.

2) Szołdrskich:

Dyrektor: X. Julian Janicki, cenzor ksiąg, nauczyciel wyższy przy gimnazyum św. M. Magdaleny.

## Wykaz kościołów, klasztorów i kaplic w m. Poznaniu, oraz księży przy tychże zatrudnionych.

(Patrz poprzedni numer „Pracy“ z dnia 7-go b. m.)

| Liczba dusz | Kościoły parafialne | Księża | Klasztory i kaplice |
|---|---|---|---|
| 10,000 | **Parafia archikatedralna** | Rządzca parafii: X. Kaz. Michalski.<br>Wikaryusze: 4 archikatedralni jak wyżej. | Kościół sukursalny p. w. św. Małgorzaty na Śródce.<br>Kościół sukursalny Panny Maryi przy Tumie.<br>Kaplica seminaryjna p. w. Zwiastowania N. M. P.<br>Kaplica św. Anny na Zagórzu.<br>Kaplica Sióstr Szarytek na Śródce. |
| 12,322 | **Parafia i kolegiata św. Maryi Magdaleny** | Kapituła<br>Prałat-proboszcz: X. Antoni Stychel, prezes dyecezalny Tow. Robotników, cenzor ksiąg.<br>Dziekan: X. Wład. Hozakowski.<br>Kustosz: vacat.<br>Kanonicy: I. X. Leon Przybylski.<br>II. X. Prałat.<br>Mansyonarze i wikaryusze:<br>I. X. Wacław Mayer.<br>II. X. Józef Gierłowski.<br>III. X. Stan. Lipowicz.<br>Przy kaplicy Pana Jezusa:<br>X. Wincenty Dutkiewicz. | Kaplica Przenajśw. Krwi Chrystusa Pana przy ulicy Żydowskiej. |

| Liczba dusz | Kościoły parafialne | Księża | Klasztory i kaplice |
|---|---|---|---|
| 5,902 | **Parafia św. Wojciecha** | Proboszcz: X. Leon Laskowski, dziekan emeryt.<br>Mansyonarz i wik. X. Bol. Kościelski.<br><br>Przy Dominikanach:<br>Prebendarz I i rządzca kościoła: X. Józef Kłos, promotor Różańca św., notaryusz dekanalny.<br>Prebendarz II: X. Kazimierz Zimmermann. | Kościół sukursalny podominikański.<br>Kaplica św. Maryi Magdaleny na Winiarach. |
| 15,000 | **Parafia św. Marcina** | Proboszcz: X. Jan Lewicki, dr. fil., prałat domowy J. Św., egzaminator prosynodalny, asesor dekanalny.<br>Wikaryusz I: X. Edmund Wagner, delegat Ks. Prałata ad universalitatem causarum.<br>Wikaryusz II: X. Stanisław Podkomorski.<br>Wikaryusz III: X. Bolesław Paluchowski.<br><br>Przy Franciszkanach:<br>Prebendarz I i rządzca kościoła: X. Hieronim Spaeth.<br>Prebendarz II: X. Józef Klinke, nauczyciel religii przy gimnazyum Fryd. Wilhelma.<br><br>Przy Bernardynach:<br>Rządzca kościoła: X. Wilh. Kloske, radzca duchowny, profesor religii przy gimnazyum św. Maryi Magdaleny, cenzor ksiąg.<br><br>U Przemienienia:<br>Kapelan: X. Józef Zalewski, dyrektor muzeum archidyecezyalnego.<br>Przy kaplicy Najśw. Sakramentu: X. dr. Stan. Trąmpczyński.<br>Rezydent X. Andrzej Jeske na Łazarzu. | Kościół sukursalny pofranciszkański.<br>Kościół sukursalny pobernardyński.<br>Kościół Przemienienia Pańskiego.<br>Kaplica św. Józefa u Sióstr Szarytek, przy ul. Piotra.<br>Kaplica Najśw. Sakramentu przy Królewskim placu. |
| 3,669 | **Parafia św. Jana Jerozol.** | Proboszcz: X. Wawrzyniec Kotecki, radzca konsystorski, dziekan poznański, sędzia prosynodalny, cenzor ksiąg, kapelan Zakonu Rycerzy Maltańskich i kawaler tegoż orderu.<br>Wikaryusz: X. Konstanty Nowak, Lic. prawa kan. | Kościół filialny św. Rocha na Miasteczku<br>Kościół sukursalny św. Kazimierza poreformacki na Śródce. |
| 13,890 | **Parafia jeżycka p. w. św. Floryana.** | Proboszcz: X. Walenty Kolasiński, radzca duchowny, promotor jen. dyecezalny Arcybractwa Matek chrześciańskich.<br>Wikaryusz I: X. Leon Rankowski.<br>Wikaryusz II: X. Antoni Siudziński. | Kaplica Najsł. Serca Jezusowego u Sióstr Elżbietanek. |
| 10,000 | **Parafia Bożego Ciała.** | Proboszcz: X. Andrzej Kostencki.<br>Wikaryusz: X. Teofil Gapczyński.<br>Proboszcz wojskowy poznański: X Jan Michałowicz, nauczyciel religii przy szkole Ludwiki. | Kaplica Najsł. Serca Jezusowego u Sióstr Elżbietanek. |

# WYKAZ
## adwokatów, aptekarzy, lekarzy i weterynarzy Polaków,
### zamieszkałych w Poznaniu.

### 1. Adwokaci:

*Dr, Celichowski,* Stary Rynek, w pałacu Działyńskich. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Chrzanowski,* ul. Wilhelmowska 1. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Cichowicz* (notaryusz), plac Działowy 4. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Dr. Dziembowski,* ul. Podgórna 10a. Przy sądzie nadziemiańskim.

*Głębocki* (radzca sprawiedliwości i notaryusz), plac Sapieżyński 2. Przy sądzie nadziemiańskim.

*Müller,* plac Wilhelmowski 8. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Nowacki,* ul. Wilhelmowska 5. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Rychłowski,* Plac Sapieżyński 4. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Seyda,* ul. Wilhelmowska 6. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Trąmpczyński* (notaryusz), plac Wilhelmowski 4. Przy sądzie ziem ańskim i okręgowym.

*Wize,* Św. Marcin 16/17. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

*Woliński,* ul. Wilhelmowska 27. Przy sądzie ziemiańskim i okręgowym.

* * *

### 2. Aptekarze:

*Dzierzgowski,* ul. Wrocławska 31.

*Gierłowski,* Stary Rynek 41.

*Jasiński,* Stary Rynek 75.

*Życki,* Chwaliszewo 76.

* * *

### 3. Lekarze:

*Dr. Batkowski,* ul Wiedeńska 10.

*Dr. Bolewski,* Św. Marcin 58, specyalista w chorobach gardła, nosa i uszu.

*Dr. Broekere,* ul. Wrocławska 18.

*Dr. Chachamowicz,* ul. Głogowska 55.

*Dr. A. Chłapowski,* Stary Rynek 60, specyalista w chorobach skórnych.

*Dr. F. Chłapowski,* ul. Wiktoryi 27, specyalista w chorobach żołądka.

*Dr. Chrzanowski,* Św. Marcin 55, specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie.

*Dr. Drygas,* ul. Szkolna 12.

*Dr. Dziembowski,* ul. Fryderykowska 28.

*Dr. Gąsiorowski,* Św. Marcin 26.

*Dr. Grabowski,* Św Marcin 9, specyalista na choroby uszu, nosa i krtani.

*Dr. Grodzki,* ul. Długa 10.

*Dr. Holtzer,* Św. Marcin 47, specyalista w chorobach żołądka.

*Dr. Jarnatowski,* Św. Marcin 8, okulista.

*Dr. Jaruntowski,* ul. Wilhelmowska 16, specyalista w chorobach płuc i gardła.

*Dr. Jerzykowski,* ul. Wilhelmowska 18.

*Dr. Kapuściński,* ul. Wilhelmowska 11.

*Dr. Karwowski,* Św. Marcin 58, specyalista w chorobach skórnych i pęcherza.

*Dr. Kożuszkiewicz,* ul. W. Berlińska 54.

*Dr. Krysiewicz,* Św. Marcin 57.

*Dr. Maćkiewicz,* ul. W. Berlińska 69.

*Dr. Michalski,* Chwaliszewo 76.

*Dr. Negolewski,* plac Wilhelmowski 3, okulista

*Dr. Panieński,* ul. Berlińska 13, fizyk powiatowy.

*Dr. Pomorski,* ul. Podgórna 12a, specyalista w chorobach kobiecych i chorobach chirurg.

*Dr. Preibisz,* ul. ces. Wilhelma 28.

*Dr. Rudzki,* plac Piotra 3.

*Dr. Sowiński,* ul. W. Berlińska 42.

*Dr. Stan,* Sw. Marcin 14, specyalista w chorobach nosa, płuc i gardła.

*Dr. Stark,* ul. Bismarka 7, specyalista w chorobach skórnych.

*Dr. Stasiński,* Św. Marcin 1, okulista.

*Dr. Suszczyński,* Chwaliszewo 1.

*Dr. Święcicki,* Stary Rynek 78, specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie. Dyrektor kliniki kobiecej przy Starym Rynku 78.

*Dr. Szuman,* ul. Głogowska 93.

*Dr. Wicherkiewicz,* Św. Marcin 6, okulista, klinika okulistyczna.

*Dr. Zakrzewski,* ul. Berlińska 20, specyalista w chorobach żołądka, kierownik zakładu wodoleczniczego i sanatoryum dla nerwowo-chorych, ul. Rycerska 15.

*Dr. Zielewicz,* Św. Marcin 27, chirurg.

*Dr. Ziołkowski,* ul. Wodna 28.

* * *

### 4. Lekarze-dentyści:

*Palędzki,* ul. Berlińska 5.

*Perliński,* św. Marcin 69.

*Szulc,* plac Wilhelmowski 2.

*Węclewski,* ul. Wiktoryi 19.

* * *

### 5. Weterynarze:

*Starkowski,* plac Wilhelmowski 17.

*Nowacki,* ul. Bismarka 4.

* * *

### Gazety polskie

wychodzące 2 razy dziennie:

*„Kuryer Poznański,"* Św. Marcin 69.

1 raz dziennie:

*„Dziennik Poznański,"* Fryderykowska 8.

*„Goniec Wielkopolski,"* Grobla 7.

*„Gazeta Narodowa,"* ul. Podgórna 7.

*„Orędownik,"* ul. Podgórna 7.

*„Przyjaciel Ludu,"* ul. Berlińska 5.

*„Postęp,"* ul. Wrocławska 20.

*„Wielkopolanin,"* ul. Wodna 15.

3 razy tygodniowo:

*„Głos Polski,"* ul. Podgórna 7.

1 raz tygodniowo:

*„Praca,"* ul. Rycerska 38.

*„Czytelnia Polska,"* ul. Rycerska 38.

*„Biblioteka Powieści,"* ul. Wodna 15.

*„Przewodnik katolicki,"* Św. Marcin 69.

*„Poradnik Gospodarski,"* ul. Berlińska 5.

*„Ziemianin,"* Berlińska ul. 5.

1 raz miesięcznie:

*„Bocian,"* pismo humorystyczne, ul. Fryderykowska 8.

*„Jutrzenka."* Swięty Marcin 69.

*„Nowiny Lekarskie,"* ul. Fryderykowska 8.

*„Poradnik dla Spółek,"* ul. Berlińska 5.

W czasie nieokreślonym:

*„Kościelny Dziennik urzędowy dla archidyecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej,"* przy Tumie.

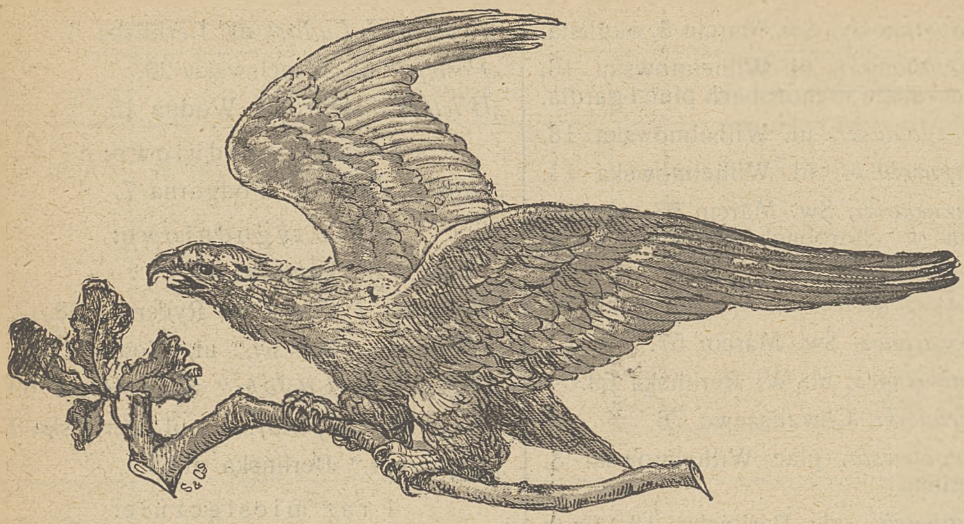
* * *

### Drukarnie polskie
#### w mieście Poznaniu.

1. Drukarnia „Pracy," właściciel Marcin Biedermann.
2. Drukarnia „Dziennika Poznańskiego," własność spółkowa.
3. Drukarnia „Kuryera Poznańskiego," własność spółkowa.
4. Drukarnia „Gońca Wielkopolskiego," właściciel Bernard Milski.
5. Drukarnia „Orędownika," właściciel dr. Roman Szymański.
6. Drukarnia „Postępu," właściciel Stanisław Knapowski.
7. Drukarnia „Przyjaciela Ludu," właściciel Franciszek Tomaszewski.
8. Drukarnia Fr. Chocieszyńskiego (drukuje „Wielkopolanina" i „Bibliotekę Powieści").
9. Drukarnia Leitgebra (połączona z wielką księgarnią i znacznym nakładem różnych wydawnictw książkowych).
10. Drukarnia Antoniego Rose (właściciel Chrzanowski), połączona z pierwszorzędnym zakładem litograficznym.
11. Drukarnia Skrzetuskiego.
12. Drukarnia Kapeli.
13. Drukarnia Malowa.

**Z pism mają własną drukarnię tylko:**

1. „Praca,"
2. „Dziennik Poznański."
3. „Kuryer Poznański,"
4. „Goniec Wielkopolski,"
5. „Orędownik,"
6. „Postęp" i
7. „Przyjaciel Ludu."



## Zamożność mieszkańców Poznania w różnych epokach.

Dawna Polska była zamożna, a nawet bogata już za pierwszych Piastów, a jeszcze bogatsza za czasów Jagiellonów, Batorego i Zygmunta III, chociaż z powodu swego położenia geograficznego była zniewoloną ustawicznie staczać boje z barbarzyńskiemi ludami Azyi, wskutek czego państwa i narody poza plecami Polski leżące mogły bezpiecznie i spokojnie uprawiać rolnictwo, przemysł, prowadzić handel i płody swej pracy obcym sprzedając krajom, rość w zamożność i bogactwo. Żaden więc z sumiennych historyków i ekonomistów nie może żadną miarą odmówić Polakom zmysłu i zdolności w zdobywaniu tych źródeł, z których płynie zamożność i dobrobyt. Rozważmy sobie tylko słowa niemieckiego kronikarza Dytmara, opisującego wspaniałe przyjęcie cesarza niemieckiego Ottona przez Bolesława Wielkiego, a śmiało twierdzić możemy, że rzemiosła, wyższy przemysł i handel już przed 11-tym wiekiem były bardzo znaczne w Wielkopolsce, a więc i w Poznaniu, tej pierwszej stolicy całej Polski, choć niczem były one w porównaniu z temi gałęziami dobrobytu i zamożności za czasów Jagiellonów, Batorego i Zygmunta III.

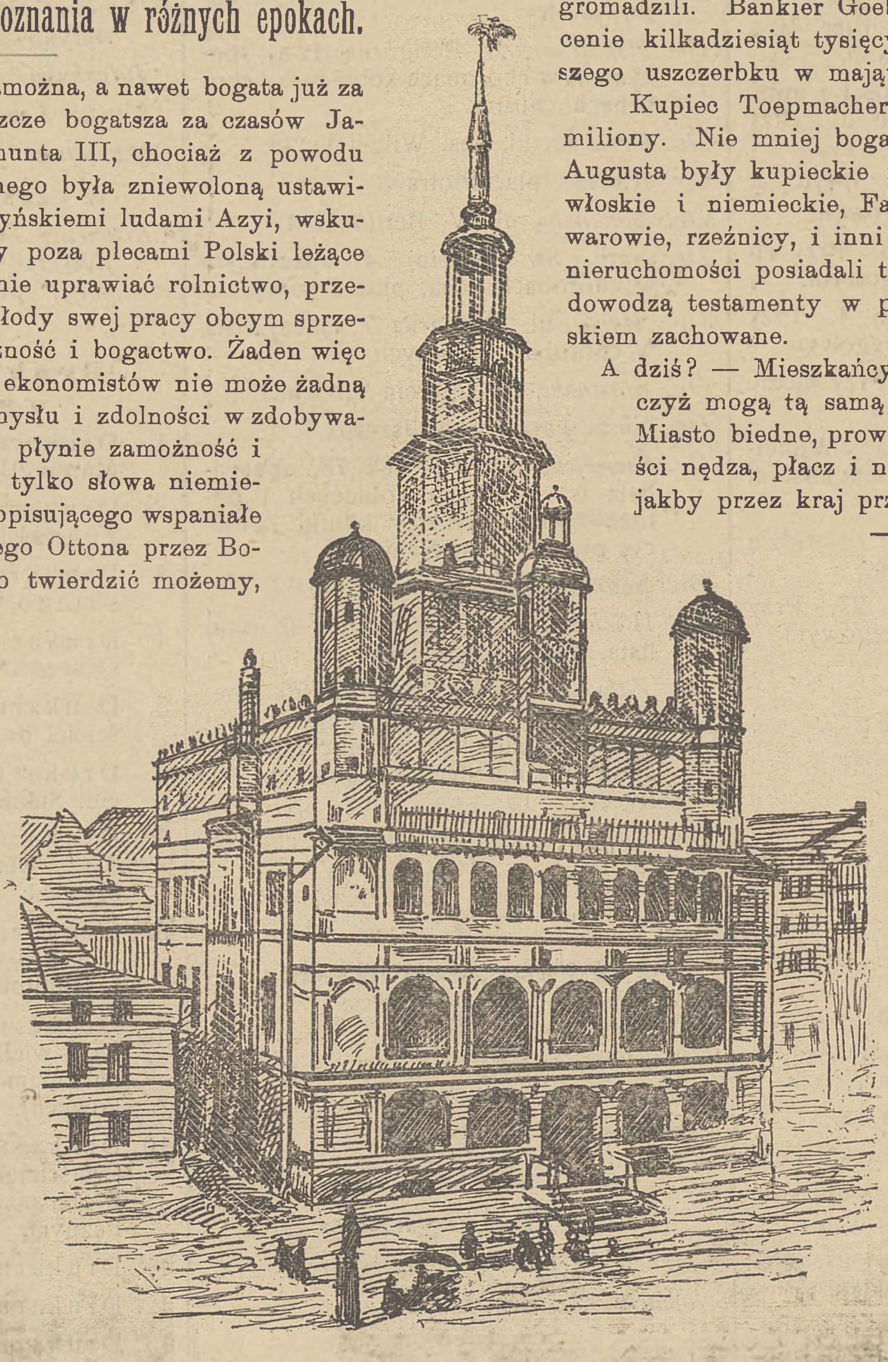
Za panowania tych to monarchów, za ubogiego poczytywany był rzemieślnik, albo inny mieszkaniec Poznania, którytby nie miał łyżek, kubków, mis i innych sprzętów srebrnych, któregoby żona jednego przynajmniej czepka perłami wyszytego nie posiadała. Łańcuchy zaś złote, kamienie drogie, pasy lite, kosztowne futra i złotogłowy stanowiły ubiór odświętny majętniejszych mieszczan i mieszczanek. W aktach grodzkich poznańskich nie trudno znaleźć czynności, w których mieszczanie poznańscy za czasów Jagiellonów i Wazów szlachcie na dobra znacznych sum wypożyczali, pomimo to, że już wówczas polityką miast naszych było ukrywać bogactwo swoje przed zazdrosnem okiem innych stanów. Mieszczanina, posiadającego 100 tysięcy ówczesnych złotych majątku, nie liczono do bogatych; przydomek ten dawano rozporządzającym krociami.

Te bogactwa mieszkańców Poznania nęciły szlachtę, która nieraz w związki rodzinne z Poznańczykami wchodziła i z córkami miejskiemi nieraz znaczne brała posagi, za które dobra ziemskie kupowała.

Po wojnach szwedzkich, po tylu rokoszach, konfederacyach, jak Barska w pierwszej połowie 18-go wieku mieszkańcy Poznania zubożeli, po ustaleniu wszakże porządku w kraju od r. 1700, troskliwa opieka rządu polskiego nad miastami i ożywiony przez nią handel i przemysł wydały niezwłocznie najobfitsze owoce dla mieszkańców Poznania. Miasto zaczęło pod każdym względem zakwitać, a mieszkańcy jego ogromne majątki gromadzili. Bankier Goebel posiadał krocie, a poświęcenie kilkadziesiąt tysięcy talarów nie robiło najmniejszego uszczerbku w majątku jego.

Kupiec Toepmacher i bankier Kluk posiadali miliony. Nie mniej bogatemi za rządów Stanisława Augusta były kupieckie rodziny polskie, pierwotnie włoskie i niemieckie, Faronich i Wilandtów. Piwowarowie, rzeźnicy, i inni rzemieślnicy obok znacznych nieruchomości posiadali także wielkie kapitały, czego dowodzą testamenty w poznańskiem archiwum miejskiem zachowane.

A dziś? — Mieszkańcy Poznania polscy i niemieccy czyż mogą tą samą pochwalić się zamożnością? Miasto biedne, prowincya biedna, w większej części nędza, płacz i narzekanie — smutno wszędzie jakby przez kraj przeszła szarańcza.



Ratusz w Poznaniu.

### Ratusz w Poznaniu.

Do najpiękniejszych w prowincyi naszej pomników dawnego budownictwa, należy niezaprzeczenie ratusz poznański. Swoją wielkością, stylem gotyckim, zajmuje przyjemnie oko cudzoziemca; swoją starożytnością przenosi myśli krajowca w odległe, upłynione czasy. Świadek tylu zmian losów tej krainy, przetrwał wieki i burze, i przetrwa jeszcze wiele pokoleń ludzkich i gmachów dziś stawianych.

Przemysław I, książę wielkopolski nadał miastu Poznaniowi w środku 13-go wieku prawo magdeburskie, korzystniejsze dla mieszkańców miast od dawnego polskiego. Skutkiem tego dobrodziejstwa było powstanie w przeciągu kilku lat nowej części miasta na lewym brzegu Warty. W części tej wzniesiono zaraz (co z sobą prawo magdeborskie niosło) ratusz, w tem samem miejscu, na którem dziś stoi, na posiedzeniu sądów i rady miejskiej, na skład archiwum i więzienia złoczyńców. Z jakiego materyału gmach ten pierwiastkowo był wystawiony, nie można dziś dojść z szczupłych o nim notatek, w miejskiem archiwum poznańskiem zachowanych. Zdaje się atoli,

że był murowanym; albowiem już w r. 1447, w którym według podań Długosza Poznań pogorzał, znajdowało się w tem mieście wiele świątyń i domów murowanych, które się niszczącemu wszystko żywiołowi oparły; a zatem i ratusz musiał być mu-



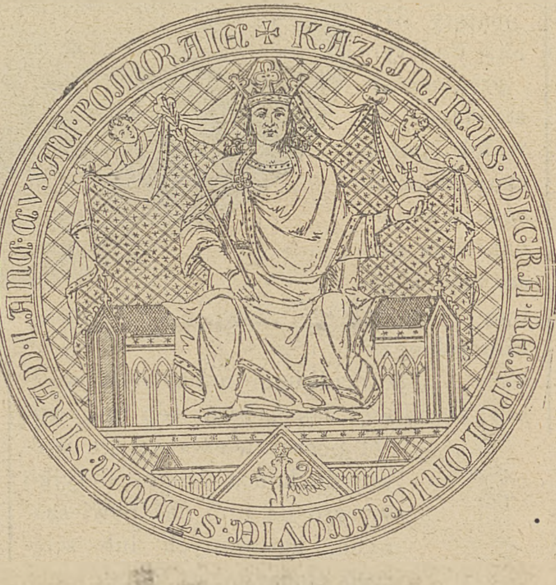
Wielkopolanka z okolicy Poznania.
Malował M. Jaroczyński.

rowany. Ratusz ten stał do panowania Zygmunta I, to jest do początku 16-go wieku, w którym dzisiejszy gmach, w kształcie okazalszym niż dawniejszy, z gruntu wzniesiony został. Rok postawienia tego gmachu nie jest wiadomy zdaje się przecież, że stanął między latami 1512—20.

Przez półtora przeszło wieku stał gmach ten bez żadnej skazy, urągając się czasowi i zaburzeniom krajowym za panowania nieszczęśliwego Jana Kazimierza, w których Poznań wiele ucierpiał. W r 1675 dnia 9 sierpnia ogień piorunowy spalił wieżę ratuszną, którą dopiero w r. 1690 odbudowano; nowa, prócz drzewa i roboty ręcznej kosztowała 32630 ówczesnych złotych polskich; na pobicie jej wyszło przeszło 100 centnarów miedzi. Uważaną była za arcy dzieło w swoim rodzaju. Naoczny świadek opisuje ją w ten sposób: Wystawiona była w r. 1690, miedzią wszystka pobita, sztukami pozłocistemi przyozdobiona; ta się tak ważnie i misternie przez rzemieślnika budującego zdarzyła, że monarchowie, ile podczas wojny szwedzkiej i moskiewskiej, dziwowali się jej udatności i ozdobie, i abrysować dawali. — Nawet z państw i królestw architektowie przyjeżdżali i abrysy sobie brali. W tejże był w pierwszej perspektywie wiszący dzwon wielki, alias cymbał do bicia godzin, ważący przeszło 157 centnarów, w drugiej perspektywie dzwon na kwaternik (kwadranse) ważący 109 centnarów.. Pod tą zaś wieżą na murze na cztery części okazujące kompasy, ażeby i na tę i na tę stronę mógł każdy widzieć, nawet za miastem mógł rozeznać na zegarze, co skazował indeks który był przedtem na 24 godzin sformowany, tandem po dwudziestu i kilku latach (1712) na 12 godzin przeformowany.“ Żałować należy, że przodkowie nasi ani nam nie zachowali nazwiska architekta, który piękną tę wieżę postawił, ani też nie zostawili jej abrysu. Zdobiła ona miasto 35 tylko lat.



Dawniejszy widok placu Sapieżyńskiego.



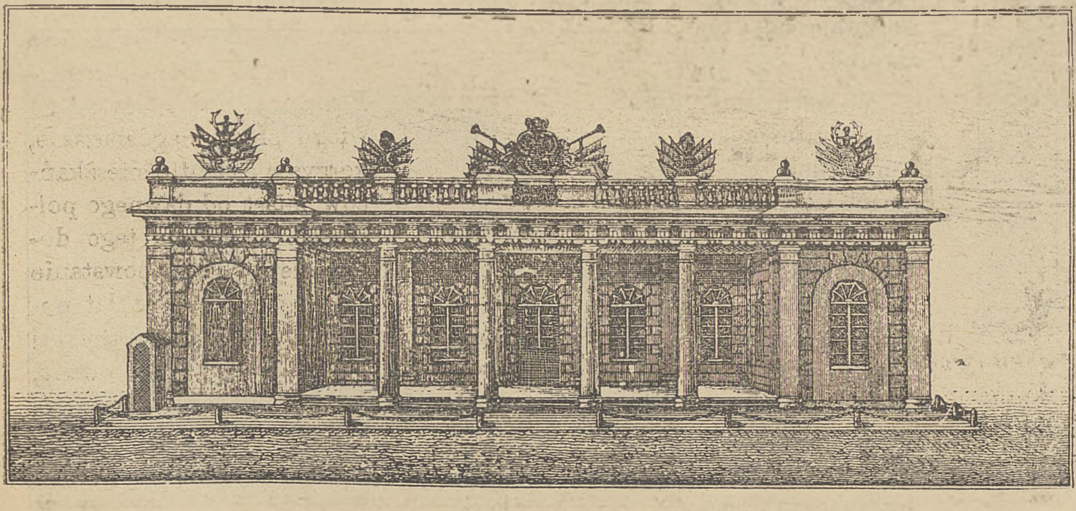
Najdawniejsza pieczęć majestatyczna polska.

W r. 1725 dnia 18 czerwca o godzinie 7-mej w wieczór nadzwyczajna burza zrządziwszy w Poznaniu i okolicy nieobliczone szkody, nie szczędziła i tej wieży: zwaliła ją ku stronie Wronieckiej ulicy. Uwagi godną rzeczą jest, że w chwili, gdy wieża runęła i kamienicę Efraima Klinberga, kupca, ciężarem swoim zgniotła, znajdowało się wielu



Bamberka z okolicy Poznania.
Malował M. Jaroczyński.

ludzi na tej samej stronie rynku, w którą wieża padała, a przecież nikt życia nie utracił; tylko kupiec Jan Kunowski, mający kram żelazny pod ratuszem, odniósł lekką ranę w ramię. — Dopiero



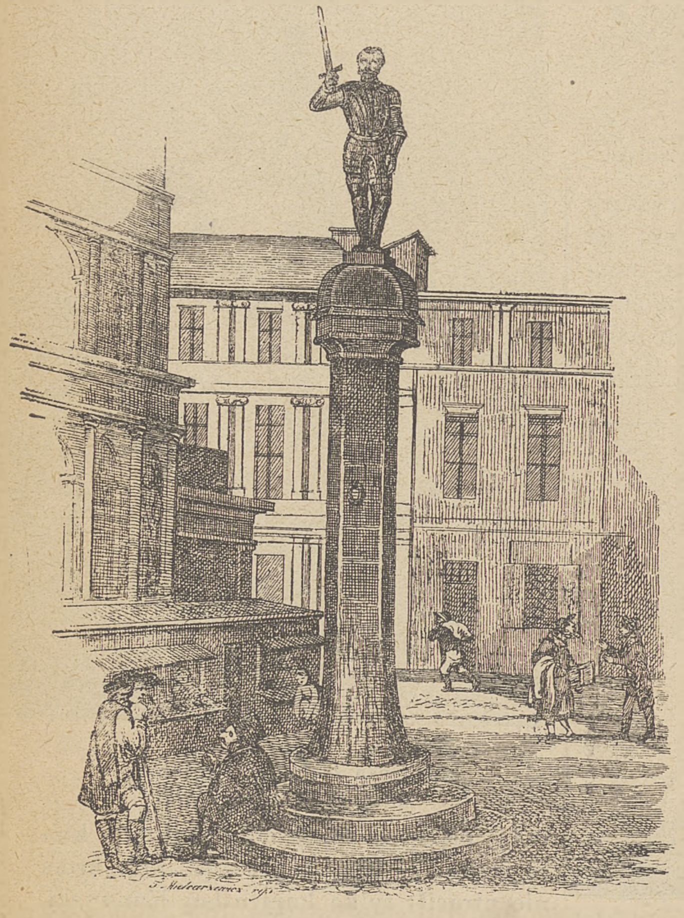
Odwach wojskowy naprzeciw pałacu Działyńskich wystawił Kazimierz Raczyński i ozdobił herbem Polski.



Teraźniejszy widok placu Sapieżyńskiego.

w r. 1730 postawiono nową wieżę na ratuszu; ale ta nie wyrównywała w żadnym względzie poprzedniej; miasto wycieńczone kontrybucyami podczas wojny szwedzkiej za Karóla XII, nie mogło się zdobyć na wystawienie okazalszej, i na tę musiało pożyczyć 13,000 złp. Jak długo wieża ta stała, nie wiadomo. Teraźniejsza postawioną została, jak sama jej powierzchowność okazuje, za czasów Stanisława Augusta, staraniem Kazimierza Raczyńskiego, marszałka wielkiego koronnego. Przy stawianiu jej zmieniono znacznie dawniejszą postać ratusza, od drugiego piętra począwszy; dół, pierwsze i drugie piętro nie uległy wielkim zmianom, ani wewnątrz, ani zewnątrz.

Ratusz poznański, zawiera nieoceniony skarb do dziejów miasta Poznania i tutejszej prowincyi, to jest dawne archiwum dobrze zachowane, w którem przywileje zaczynają się od roku 1250, akta rozmaitej treści od r. 1450. Nie wiele jest miast w dawnej Polsce, któreby się równie starożytnem i równie zamożnem archiwum poszczycić mogły. W archiwum tem znajduje się także mały księgozbiór, a w tym kilka książek z daru Józefa Strusia, Poznańczyka, sławnego lekarza 16 wieku. Między rękopismami tego księgozbioru, zasługuje na uwagę prawo magdeburskie pisane po niemiecku na początku 14. wieku i dzieło lekarskie z 15-go wieku, w którem nazwiska roślin w polskim języku są przytaczane.



Pręgierz na rynku.

Obok ratusza stoi pręgierz kamienny, prawie równocześnie z ratuszem postawiony (r. 1535), a zatem mający 370 lat. Pod tym pręgierzem stawiano na widok publiczny złoczyńców na śmierć haniebną skazanych, a potem ryto na nim rok egzekucyi. Jak rzadkiemi u nas były wielkie zbrodnie, zaświadcza ten pręgierz. Od początku szesnastego wieku do końca 18-go, 6 tylko wyryto na nim dat powieszonych, katowanych lub ściętych złoczyńców. Zbudowany został pręgierz z funduszu, który złożyły między innemi kucharki miejskie za karę, że się za bardzo stroiły. Głosi o tem napis łaciński na pręgierzu.

Obok wznosi się fontanna, ozdobiona posągiem Neptuna, porywającego Prozerpinę.

W zachodniej stronie ratusza istniał dawniej gmach, zbudowany pierwotnie w XV wieku, zwany miejską wagą.

Zniesiono tę budowlę r. 1891, a na jej miejscu wzniesiono obszerny dom miejski, przeznaczony na sale i biura władz miejskich, którym było za ciasno na ratuszu.

Choć skromny w budowie i stylu, zasługuje jednak ze wszech miar na bliższe przypatrzenie się jako siedziba najwyższych zwierzchników naszej archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej

**Pałac arcybiskupi.**

Pierwotnie zamek biskupi stał prawdopodobnie na tem miejscu, gdzie stoi dzisiejszy i wzniesiony był zapewne z drzewa równocześnie z katedrą. W r. 1439 za staraniem biskupa Andrzeja z Bnina Opalińskiego zbudowano go z cegły. Rozszerzył go i przyozdobił



Pałac Arcybiskupi w Poznaniu.

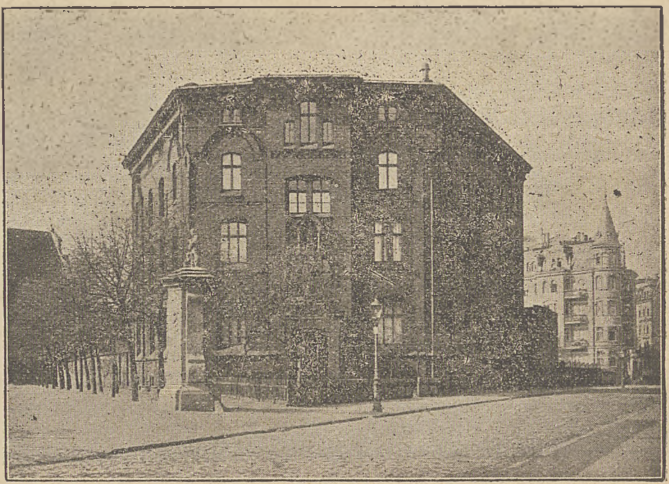
portretami poprzedników Jan Lubrański (1520 r.); Andrzej Czarnkowski († 1562) przekształcił go i założył przy nim ogród włoski.

Zrujnowany przez czas budynek kazał rozebrać biskup Tarło i w miejsce to nowy postawić pałac, którego budowę ukończył w r. 1732 architekt Pompejus.

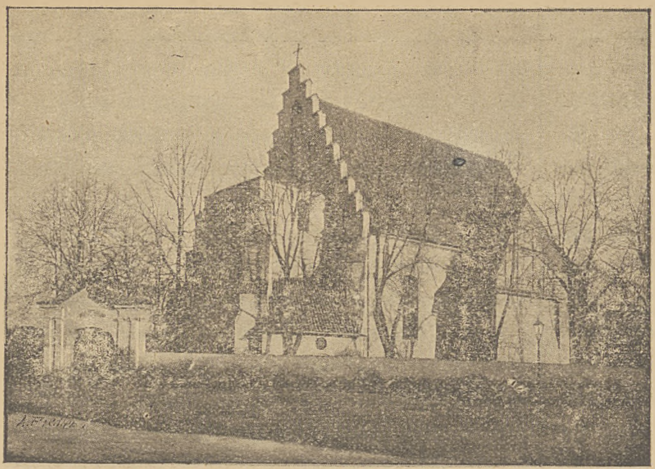
Naprzeciw fabryki Cegielskiego po prawej stronie pięknej alei, prowadzącej do kościoła Bożego Ciała, stoi piękny

**Gmach Elżbietanek,**

zajmujących się z całą troskliwością dziełem miłosierdzia, pielęgnowaniem chorych i osób wiekiem skołatanych.



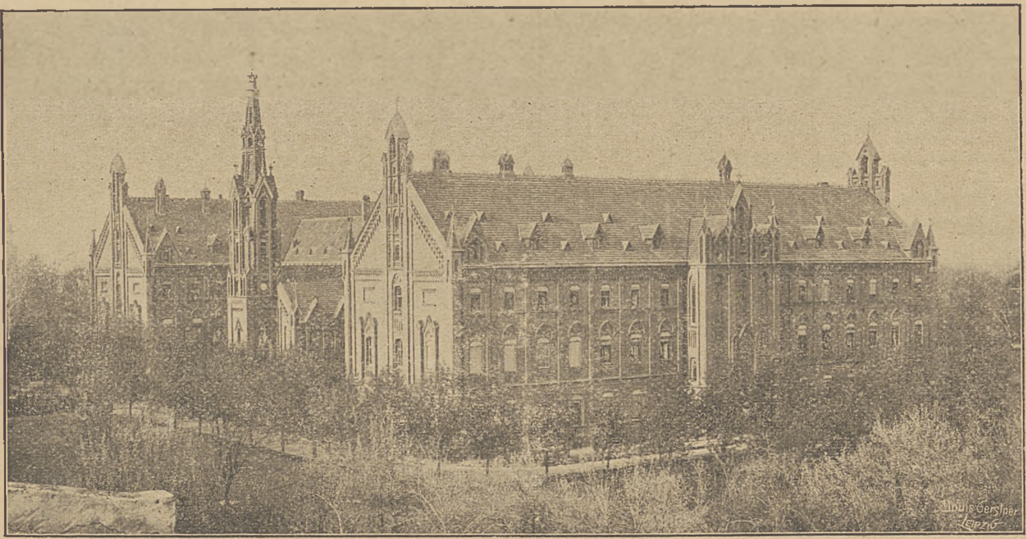
Dom Elżbietanek.



**Kościół OO. Filipinów pod wezw. św. Małgorzaty na Śródce** należy do najstarszych świątyń miasta Poznania, bo datuje z r. 1200. (Opis szczegółowy patrz w poprzednim numerze „Pracy.“

### Klasztor na Wildzie,

w którym dawniej wychowywały i kształciły się naukowo Sercanki, córki zamożnych naszych rodzin wielkopolskich, padł pod obuchem kulturkampfu, o którym w poprzednim numerze „Pracy“ obszernie



**Klasztor na Wildzie.**

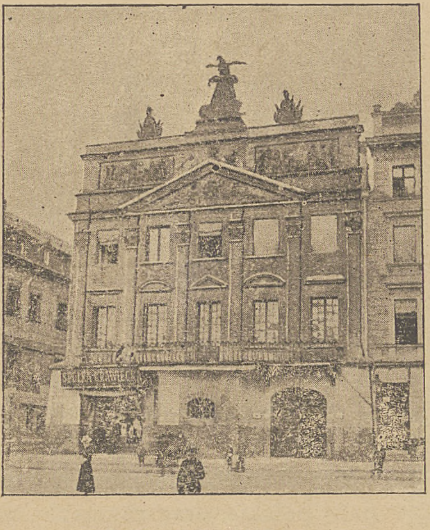
pisaliśmy. Budowlę tę w przepięknym stylu gotyckim postawioną wraz z kaplicą nabył po rozpędzeniu Sercanek na własność rząd funduszami zapisu Garczyńskiego. Klasztor ten wraz z obszernym ogrodem i parkiem jest dzisiaj celem przechadzek tych Poznańczyków, którzy pragną czystem i świeżem odetchnąć powietrzem i znaleźć rozkosz w podziwianiu nadobnej natury i w pięknem dziele budowniczem. W zajmowanych dawniej przez zakonnice i ich wychowanki bardzo licznych pokojach mieszczą się osoby płci obojga, które resztę dni życia w spokoju i ciszy chcą zakończyć.

### Pałac Działyńskich.

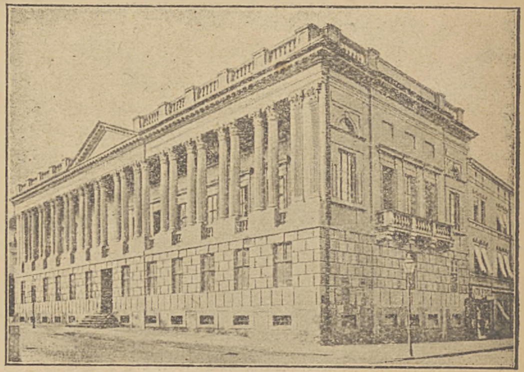
Niedaleko domu miejskiego w zachodniej części rynku zwraca uwagę przechodnia gmach starożytny, ozdobiony na zewnątrz płaskorzeźbą. Jest to dawniejszy pałac Gurowskich, który przeszedł później w ręce Działyńskich, a obecnie jest własnością hr. Zamoyskiego w Zakopanem. W tym pałacu zasługuje na uwagę czerwona sala, która miała i ma znaczenie w rozwoju polskości w Poznaniu. Od r. 1841 odbywały się tu odczyty przez lat kilka, urządzone staraniem Libelta i Moraczewskiego. W r. 1848 utworzono w czerwonej sali biuro polskie wojskowe, później był tu lazaret dla rannych polskich powstańców. Liczne towarzystwa miewały tu i miewają jeszcze posiedzenia. Urządzono także w pałacu dwie wystawy obrazów i kilka wystaw przemysłowych.

### Biblioteka Raczyńskich

przy placu Wilhelmowskim, założona przez Edwarda Raczyńskiego, istnieje od 1829 roku. Jestto gmach okazały, ozdobiony na zewnątrz kolumnami korynckiemi z żelaza. Obecnie liczy biblioteka 50,000 tomów dzieł i znaczną ilość rękopisów. Przy zakładzie jest zatrudnionych dwóch bibliotekarzy i sługa. Biblioteka jest otwartą co dzień od godziny 5 do 8, jednakże ferye gimnazyalne i święta się odliczają. Katalogi i korespondencye prowadzą się w języku niemieckim. Brat Edwarda Atanazy chciał obok tego gmachu założyć galeryą obrazów, ale ówczesna rada miejska i magistrat wymagali, aby ofiarodawca dał nietylko gmach i obrazy, ale miał jeszcze



**Pałac Działyńskich.**



**Teraźniejszy widok biblioteki Raczyńskich.**

złożyć fundusz na utrzymanie. Atanazy Raczyński cofnął ofiarę, a dziś jego galerya, posiadająca wartość kilku milionów marek, jest własnością rządu pruskiego i znajduje się w Berlinie.

### Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie w roku 1857 założone zostało w myśl istnienia byłego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Cała ówczesna inteligencya Księstwa brała żywy udział w założeniu Towarzystwa, a na czele ruchu odznaczali się ze zmarłych: Tytus hr. Działyński, ks. Malinowski, Dr. Kazimierz Szulc, Władysław dr. Niegolewski, Rogier hr. Raczyński i wielu innych.

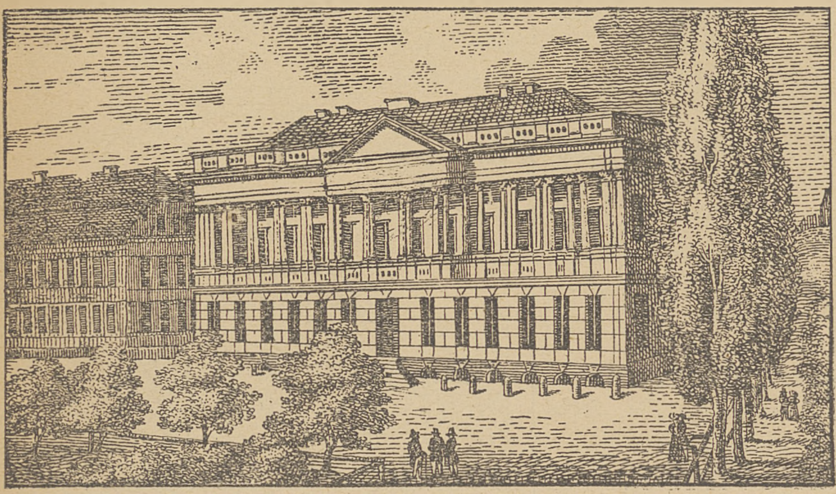


**Muzeum Im. Mielżyńskich (po odrestaurowaniu.)**

Na prezesa pierwszego zarządu obrano hr. Augusta Cieszkowskiego, ale ponieważ tenże zmuszony był wyjechać za granicę, zajął miejsce po nim Tytus hr. Działyński. Honorowym prezesem mianowano JKs. Arcybiskupa dr. Leona Przyłuskiego.

Po śmierci hr. Tytusa Działyńskiego

(1861) objął urząd prezesa hr. August Cieszkowski i też w Roczniku ogłosił swe „Drogi Ducha". Po tej pierwszej fazie działania tego męża w Towarzystwie



Biblioteka Raczyńskich z czasów fundacyi.

Przyjaciół Nauk przypadł zaszczyt reprezentowania Towarzystwa dr. K. Libeltowi. Był on prezesem aż do śmierci (1875). Po nim nastąpił St. Koźmian, ponownie wybierany aż do roku 1883, w którym umarł. Wtedy ponownie objął rządy Towarzystwa hr. August Cieszkowski, a po jego śmierci wybrano Najp. X. Biskupa Likowskiego, znanego autora znakomitych dzieł o Unii Brzeskiej.

Pierwszym konserwatorem zbiorów Towarzystwa był Albin Górecki. Po nim długi szereg lat urzędował Hieronim Feldmanowski. Następnie był konserwatorem Klemens Kantecki (1882—85), po jego śmierci powołanym został na opiekuna zbiorów dr. Bolesław Erzepki.



Muzeum Im. Mielżyńskich (z dawniejszych czasów).

Pierwotną siedzibę miało Towarzystwo dla siebie i zbiorów swych w pałacu Raczyńskich. Lecz kuratoryum, w skład którego wchodzą naczelne władze polityczne i miejskie W. Księstwa Poznańskiego i stolicy, wypowiedziało lokale Towarzystwu, któremu następnie wybudował osobny gmach hr. Józef Mielżyński. Skutkiem tego zakładowi nadano miano: Muzeum Imienia Mielżyńskich.

Zbiory te składają się z następujących działów:

1. *Biblioteka*, licząca już obecnie dzieł 42,000. W tem 12,000 z daru śp. JKs. prałata Koźmiana.

2. *Galerya obrazów* malarzów polskich i cudzoziemców przebywających w Polsce. Katalog z r. 1889 obejmuje już 487 numerów. Przybyło od tego czasu kilkadziesiąt. Są tam portrety wielu osobistości historycznych, wykonane bądź pędzlem, bądź dłutem, widoki wypadków historycznych, piękne obrazy architektoniczne ze znanych miejscowości, typy, krajobrazy i t. d.

3. *Galerya* malarzów obcych obejmuje katalogu 224 numerów.

Są tam dzieła sławnych malarzów włoskiej, francuzkiej i holenderskiej szkoły. Zwraca się uwagę na obraz Zampierego (Domenichino) Herkules u Omfali. Do znakomitszych dzieł należy także portret pędzla Clouета, „Trzej Królowie", Łukasza von Leyden, krajobraz J. Rujsdaela i zachwycenie Franciszka Murilla.

Obiedwie galerye obrazów pochodzą ze wspaniałego daru hr. Mielżyńskich. Część polską nabył hr. Seweryn Mielżyński przeważnie po baronie Rastawieckim, wielkim miłośniku sztuki ojczystej.

4. *Zbiór rycin*, mianowicie miedzio- i stalorytów zawiera bardzo liczne okazy dzieł Falka i Chodowieckiego.

5. *Gabinet numizmatyczny* zawiera drogocenne monety i medale polskie, oraz rzymskie, niemieckie itp.

6. *Muzeum historyczne*, zawiera liczne pamiątki historyczne po osobistościach znakomitych. Są tam pamiątki po Marcinkowskim, Mickiewiczu, Zyblikiewiczu, Kniaźninie, różnych generałach polskich i t. d.

7. *Muzeum przyrodnicze* zawiera między innemi zbiór ptaków krajowych i cenne herbaria roślinności krajowej.

8. *Gabinet Kraszewskiego* zawiera wszystkie niemal pamiątki, które na pięćdziesięcioletni jubileusz kraj cały darował znakomitemu powieściopisarzowi.

9. *Muzeum Archeologiczne* należy niewątpliwie do najbogatszych na północnym wschodzie Europy.

Dalej liczne a przepyszne brązy, z jakiemi rzadko się spotkać można. Nareszcie niezliczone okazy z krzemienia, żelaza, kości oraz nieskończony szereg okazów keramiki przedhistorycznej.

Muzea te mieszczą się dziś wedle zmienionej nazwy przy ul. Wiktoryi 26.

## Teatr polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu.

Poznań nie miał aż do roku 1870 własnej sceny polskiej. Przyczyną tego były przeszkody polityczne, gdyż rząd pruski nie dopuszczał aż do roku 1869 stałego teatru polskiego w Poznaniu, forytując wyłącznie teatr niemiecki.



Teatr polski w ogrodzie Potockiego.

Od końca wieku XVIII-go aż do roku 1869 grywały tu tylko raz po raz przyjezdne trupy aktorów polskich, najprzód z Warszawy, później z Krakowa, bądź inne, goszcząc rzadko dłużej nad kilka tygodni i to prawie zawsze latem. Grywano w teatrze miejskim*), opłacając sowity haracz przedsiębiorcy teatru niemieckiego.

Przeszkody teatrowi polskiemu przez rząd stawiane usunęła dopiero ordynacya

*) Pierwotny teatr miejski, wystawiony za czasu Prus południowych w r. 1804, zamknięty został dla widowisk w r. 1874, a rozebrany w r. 1877. Na jego miejscu wzniesiono w r. 1879 dzisiejszy teatr miejski, przeznaczony li tylko dla widowisk niemieckich.

procederowa z r. 1869 dla związku północno niemieckiego. Pierwsi skorzystali z tego pp. Lech Nowakowski i Miłosz Sztengel i uzyskawszy koncesyą od rejencyi poznańskiej, rozpoczęli widowiska polskie komornem w teatrze niemieckim w dniu 13 stycznia 1870. Od tej chwili dopiero datuje się osobna scena polska w Poznaniu.

Równocześnie utworzył się pod przewodnictwem hr. Adolfa Bnińskiego *Komitet teatralny*, który sobie wziął za zadanie, wznieść własny budynek teatralny i otaczać scenę polską w Poznaniu opieką moralną i materyalną.

Wskutek zabiegów Komitetu zawiązała się w r. 1871 Spółka akcyjna: „*Teatr Polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu.*“ Firmę tę nadano Spółce, aby uczcić ofiarność hr. Bolesława Potockiego z Będlewa.



**Dom frontowy Teatru Polskiego.**

W dniu 21 czerwca 1875 r. nastąpiło uroczyste otwarcie teatru przedstawieniem amatorskiem, a w końcu września tegoż roku rozpoczęły się regularne przedstawienia, które dawane bywają odtąd co rok przez 6 do 7 miesięcy zimowych. Wspólną ofiarnością rodaków Wielkopolski, Prus Zachednich, Galicyi, Kongresówki i innych ziem polskich stanął tedy w Poznaniu przybytek sceny narodowej. Długoletnie pragnienie społeczeństwa wielkopolskiego uwieńczone zostało czynem, dzieło jednakże samo tylko w połowie dokonanem zostało.

Poznań posiadał od roku 1875 budynek dla sceny polskiej, ale fundusze i dochody Spółki akcyjnej „Teatr polski w ogrodzie Potockiego“ nie starczyły same przez się nawet na utrzymanie zabudowań teatralnych w należytym stanie. Jedyne bowiem źródło dochodów dla Spółki akcyjnej stanowił czynsz z najmu domu stojącego przed teatrem. Dzierżawa roczna z tego domu (starej rudery) wynosiła w najlepszych latach około 9000 marek. Ta kwota nie starczyła na opłacenie procentów od pożyczki hipotecznej, jak niemniej na opędzenie wydatków na asekuracyą ogniową, podatki, reperacye i inne wydatki administracyjne. Z tego powodu walczyła Spółka co rok z niedoborem, który to niedobór niezależnie od wydatków na subwencyonowanie sceny, wynosił w przecięciu rocznie przeszło 5000 marek. Doliczywszy do tego nader skromną subwencyą sezonową dla sceny około 5—6000 marek, potrzebowała Spółka teatralna najmniej 11 do 12,000 marek zasiłku, aby mogła utrzymać budynek teatralny i dać Poznaniowi średnio zadawalniającą scenę przez przynajmniej sześć miesięcy w roku.

Zasiłek na ten cel potrzebny czerpała Spółka teatralna ze składek zbieranych w najrozmaitszej formie, inaczej musiałaby była już przed laty kilkunastu ogłosić upadłość. Pomoc ta była jednakże tylko doraźna i pozbawiona trwałej podstawy i systematycznej organizacyi, a skutkiem tego chromał byt naszego teatru.

Dopiero dana w roku 1890 sposobność nabycia realności przylegającej do posiadłości Teatru polskiego, poddała myśl wystawienia na tychże gruntach wspólnego budynku z obszernem podwórzem, w tym celu, aby z przewyżki dochodów osiągniętych z tego budynku stworzyć stałą zapomogę dla „Teatru polskiego w ogrodzie Potockiego“, utrwalić tegoż byt i zapewnić subwencyą dla sceny.

Zrealizowaniem tej myśli zajęła się założona w tym celu Spółka budowlana „*Pomoc*“, która wybudowała 2 frontowe kamienice, z których dochód przeznaczony jest na subwencyonowanie Teatru.

Gmach teatru polskiego wznosi się, jak to już wyżej nadmieniliśmy, w dziedzińcu za domem pod l. 18 przy ulicy Berlińskiej.



**Dyrektor Edmund Ryger.**

Fasada w stylu nowoczesnym daje bardzo wdzięczną całość.

Sala teatralna może ogółem pomieścić około 600 osób bez przepełnienia. Obecnie jest dyrektorem i dzierżawcą teatru p. Edmund Ryger, który w nader umiejętny sposób wywięzuje się ze swego zadania.

## Pomniki.

Poznań był dawniej ubogim w pomniki, a raczej nie miał ich wcale, dopiero w ostatnich czasach się pojawiły. Dla nas Polaków najwięcej ma uroku

*Pomnik Mickiewicza*, *) wznoszący się przy kościele św. Marcina. Wkrótce po zgonie wieszcza powstała myśl, aby jego pamięć uczcić pomnikiem na ziemi wielkopolskiej. Zebrano wnet potrzebny fundusz, a sławny rzeźbiarz Władysław Oleszczyński wykonał piękny posąg poety.

Rząd pruski nie pozwolił początkowo na wystawienie, dopiero 1859 r. nastąpiło pozwolenie. Wieszcz przedstawiony jest z rylcem w ręku, z wyrazem natchnienia na twarzy. Opiera się o symboliczną trójskałę, przy której wyrasta pień laurowy. Na skale wykute są tytuły celniejszych dzieł Mickiewicza, a na karcie wiersz z Dziadów: „Pieśni moja ty jesteś gwiazdą za granicą świata.“

---

*) Illustracyą pomnika zamieściliśmy już w numerze 27-ym na stronie 711-ej. — Przyp. Redakcyi.

Mickiewicz miał liczne stosunki z Poznaniem i z Księstwem. W r. 1828 wyszły tu jego poezye w 4 tomikach. W r. 1831 bawił poeta kilka tygodni w Poznaniu i mieszkał wówczas w hotelu berlińskim, należącym do Kramarkiewicza. Oprócz tego przebywał w Śmiełowie, Choryni, Budziszewie i innych wielkopolskich wioskach.

(Dalszy ciąg opisu miasta Poznania z licznemi illustracyami odkładamy do następnego numeru.)

# Więzień sybirski.

Szumiał wiatr bujny po świeżym stepie,
I śnieżoną zamieć w obłoki wzbił,
Tuman tam biały rwie się i trzepie,
Jak z uraganu rzęsisty pył.

A po tym stepie pocztowa droga,
Jak szarfa z srebrnych uwita nić,
Piekłem wyryta, czy z woli Boga,
Tego odgadnąć daremnie chcieć.

A po tej drodze z wichrami fale
Pędzą kibitkę w odległy szlak,
I dzwonek tylko słychać w oddali
Jak pogrzebowy umarłych znak.

W kibitce widać postać młodzienca,
Smutne, lecz dumne spojrzenie słał,
Na twarzy jego był ślad rumieńca,
Lecz ten za chwilę już zniknąć miał.

Wyjrzał z kibitki, potrząsnął głową,
Niedbał, że wzbudził w żandarmie gniew,
Oczy swe zwrócił w stronę stepową,
A pierś tęsknoty jęknęła śpiew.

Próżno, na zachód łzą oczy zlane,
Tęskne spojrzenie rzucają tam,
Gdziem ja opuścił mój kraj kochany
I już na wieki żegnać go mam.

Nie ujrzę więcej mojego sioła
Rodziny mojej nie ujrzę, nie,
Ani dziewczyny, mego anioła,
Nie ujrzę więcej, nie ujrzę, nie.

O luba, wspomnij sobie tę chwilę,
W której z twych objęć wydarto mię,
O luba, wspomnij ileż łez, ile,
Ile, ach! oczy wylały twe.

Piękne te oczy, twe boskie oczy,
Za które życie oddałbym swe,
Dziś je tęsknota, dziś smutek tłoczy,
Dziś je zlewają rzęsiste łzy.

O luba, po co gorzkie łzy lejesz?
Kiedy łza dzikich serc nie poruszy,
Oni mię wiozą gdzieś tam daleko,
O nie płacz luba duszo mej duszy.

Łotry w kajdany skuli me dłonie,
Lecz wolnej duszy nie mogli skuć.
Zrzućcie kajdany, ja się obronię,
Ja was nauczę jak wolność czuć.

Bywaj zdrów kraju, Ojczyzno droga,
Ach! gdzież twa wolność, gdzie twa [swoboda?
Wszystko zostało w niewoli wroga,
Nawet mi ręki dziś nikt nie poda.

*T. L.*

# Kara czy przebaczenie?

I.

Mały Franio zasypiał. Prześliczne, jasnowłose bobo zamykało swe czarujące oczka niebieskie i tuląc się do mateczki, poziewało pociągle. Za chwilę zaśnie. Mateczka bujała go na ramieniu, tuliła do swego lica, pieściła ciepłem swego oddechu i śpiewała.

O jak nieporównanie uroczą jest kołysanka w ustach kochającej matki. Twierdzę stanowczo, że z takim śpiewem, nuconym najgorszym głosem przez pozbawione słuchu macierzyństwo, nie może iść w porównanie najmisterniejsza kołysanka, zawodzona koloraturą artystki. Śpiew matczyny osiąga cel i kołysze serce; jest on samą pieszczotą i samem sercem.

A przytem bezwiedność tej serdecznej nuty, instynkt — jeden z najpotężniejszych instynktów kobiecych — streszcza się w najprostszych zwrotkach: Luli — oj — luli i uzmysławia większy od wszystkiego, wyższy ponad całe światy ogrom miłości.

Eugenia pożerała oczami usypiającego malca. Przed trzema laty, oddając rękę swą ukochanemu, płomienne słowa uczucia szepczącemu Stachowi, nie miała pojęcia o tych zdrojach tkliwości, jakie mieszczą się w sercu kobiety, gdy zostaje matką. Dziś dziękowała niebiosom za wielkie szczęście, za męża, który był ojcem Frania, za każdy uśmieszek na pucołowatej buzi boba, za każde jego spojrzenie, za śmiech i płacz, którym na przemiany ten mały despota ją darzył.

II.

Tego wieczora Stach miał później powrócić do domu. Sesya dobroczynna, czy też jakiś referat w sprawie społecznej zająć miał mu cały wieczór. Od chwili, gdy Franio zapanował niepodzielnie w jej światku, mniej ją obchodziły sprawy ogólne, a nawet — wymawiała to ze wstydem — interesy mężowskie.

Przyjmowała dlań papiery, czytała o nim w gazetach, wiedziała, że pracuje pożytecznie — i to jej wystarczało. Ale niechby Franio zapłakał przy najpoważniejszej dyspucie męża w sprawie gwałtownych potrzeb społecznych, rzuci Genia całą Europę z jej piekącemi sprawami i poleci do kołyski, aby uspokoić tego drogiego buntownika, silniejszego od wszystkich Boerów, Chinczyków i innych wichrzycieli „porządku“ politycznego.

Ale Franio w tej chwili nie buntował się. Usnął z zaciśniętemi piąstkami, z uśmiechem na pyzatej buzi, skulił się i schował w poduszkę, zapociwszy swe rumiane ciałko.

Genia oderwać się nie mogła od widoku, najromantyczniejszego ze wszystkich, najbardziej anielskiego ze wszelkich stanzów rafaelowskich. Ale Genia w obawie przebudzenia malca, wyszła na palcach z sypialni i udała się do gabinetu męża.

Zamierzała właśnie przeczytać powieść Bourget'a, którą mąż dla niej kupił i ustawił na wyższej półce swej biblioteki, gdzie zwykle umieszczał świeżą i do lektury żoninej podatną beletrystykę.

Czytając, skróci chwile oczekiwania powrotu Stacha, a sąsiedztwo sypialni ułatwi jej natychmiastowe pospieszenie z odsieczą, gdyby malec zażądał mamusi.

*Cosmopolis* nie bardzo ją zrazu zajmowała. Nie umiała czytelniczka dostroić się do miękkich jedwabnych upodobań wytwornego próżniactwa, którego atmosferę roztacza wykwintny Rzym, Rzym bogatych kosmopolitów i rozbawionych sybarytów. Uroki jej życia tak były splecione z troską o szczęście Frania, Stacha, o spokój, pogodę, o słońce, które promieniami swemi ogrzewać i oświetlać musi ich światek cudowny, że żadna wytworność, ani wykwint nie mogły przemówić do niej miękkiemi swemi zarysami.

Myśl więc jej szybowała około kołyski, zbaczając co chwila do Stacha, do jego dobroci, łagodności, do poczciwych oczu mężowskich, do mile pieszczącego głosu, ale po takiem zboczeniu, z wielką gwałtownością powracała do swego nieba, do słońca i do gwiazd wszystkich — do Frania.

III.

Temi dumaniami przerywając czytanie, Genia machinalnie poczęła przewracać nierozcięte kartki książki. Zamknąwszy ją i rzuciwszy na stół, spostrzegła, że wypadł z niej list. List w kopercie otwartej nie przedstawiał nic osobliwego. Widocznie Stach otrzymał go na mieście lub w biurze i po przeczytaniu włożył do kupionej w księgarni książki.

— Oddam mu go, lub na biurku położę — pomyślała.

Ale silny zapach paczuli podrażnił delikatne powonienie młodej kobiety. Przybliżyła kopertę do twarzy.

— Istotnie — zapach dziwny, odurzający, nieznany.

Oko jej spoczęło ciekawie już na kopercie. Pismo powłóczyste, miękkie, szerokie. To ręka kobieca. Stach otrzymał list od kobiety, widocznie lubującej się w zapachach, wychodzących z mody. Adres był zwykły: „Wielmożnemu Panu Stanisławowi X. w miejscu.“

Lecz wnet oko czytelniczki zabłysło gniewnie, a czoło sfałdowało się myślą niespokojną.

— Dlaczego list nie jest adresowany do mieszkania, ani do biura, lecz mieści podejrzane „Poste restante?“ Czyżby autorka listu uniknąć chciała niedyskretnych oczu otoczenia adresanta?

O, jest to co najmniej niewłaściwe. Powie to z pewnością Stachowi. Takie ukrywanie się nie ma sensu. Przecież nie broni mu żona żadnego stosunku, żadnej nie tamuje zabawy, od żadnego nie powstrzymuje towarzystwa. Nie, to bardzo niewłaściwe. Bierze ją ochota odczytania listu, — wszak koperta otwarta. Ale nie, ona tego nie uczyni. Czytanie listów nawet otwartych, to niedyskrecya, niegodna natur subtelnych.

A jednak! Może treść listu uspokoi jej obawy? Może jej przywidzenia co do płci autora, albo co do niewłaściwości adresu są przesadzone. Tu już nie instynkt ciekawości, ale dobrze wyrozumowana przezorność pozwalają na niedyskrecyę.

Zawahała się nieco dłużej, po parę razy wzięła do ręki kopertę, przewróciła ją w swych rączkach raz i drugi, wreszcie list wyjęła.

Pocóż to uczyniła! Pewność, jakiej nabrała, jest piekłem w porównaniu z najbardziej trwożliwym niepokojem, miotającym nią w chwilach wahania. O Boże! Jakaż ona nieszczęśliwa!

List był lapidarny w swej wymowności.

„Mój drogi Stachu, tak dawno u mnie nie byłeś, nudzę się bez ciebie, a dzisiejszy wieczór mam wolny, zupełnie wolny. Przybądź niezawodnie! Twoja mała Kotka.“

A zatem ten Stach to taki sam zdrajca, przeniewierca, cynik i brutal, jak wszyscy mężczyźni! Ostrzegała ją o tem ciocia Bercia, stara panna nienawidząca mężczyzn. A chociaż mama, poczciwa, zanadto dobra mama, mięszała się do rozmowy i powtarzała ulubiony swój frazes:

— Kobieta przeznaczoną jest do miłości i wyrozumiałości — to jednak ciocia była widocznie bliższą racyi.

O niepoczciwy, okrutny, niegodziwy Stanisławie! Pocoś podeptał wszystkie ideały młodej, oddanej ci na śmierć żony; pocoś zachwiał jej wiarę w ludzi, w świat i życie! W trzy lata po ślubie — zdrada! Ale nie w trzy, bo widocznie z ową „Kotką“ ciągły utrzymywał stosunek! Więc on kłamał, gdy szeptał jej przysięgi wiecznej miłości, kłamał przed ołtarzem, kłamał przy kołysce Frania! Okrutny losie, za co karzesz tak gorąco kochającą, tak niewolniczo oddaną, tak bezgranicznie wierną kobietę.

Nie! Ona z nim żyć nie może. Jutro odjedzie do matki. Ma skromny fundusik własny. Pozwoli on żyć jej wraz z Franiem. Bo Frania zabierze ze sobą, choćby sto wyroków konsystorskich zabrać go zakazało. Jutro — skoro świt — ucieknie. Jeden dach nie może osłaniać szczytnej miłości i nizkiego przeniewierstwa...

IV.

Tok rozmyślań tak bardzo bolesnych i tak okropnie wstrząsających przerwał płacz Frania. Troskliwa matka zapomniała o nieszczęśliwej żonie i pomknęła do sypialni. Dzieciątko obudziło się i zażądało mamusi, a by skuteczniej ją przywołać — zapłakało. Ale nie był to płacz niezadowolenia; malec chciał się popieścić z mamusią, bo łezka popłynęła po uśmiechniętej buzi, bo oczka zaśmiały się miłośnie do płaczącej matki. Balsam pieszczoty dziecięcej otarł łzę Eugenii. I ona cała oddała się zabawie z malcem, chwytającym ją za włosy, za grzywkę, za nosek, za brodę, przytulającym się do twarzy i całującym wilgotne jeszcze oczy...

O potęgo szczęścia matczynego! Pieszczota matki starczy za wszystkie pociechy, za filozofię, za wszystkie rozdziały o skrusze i przebaczeniu! Eugenia zapomniała o piekącym bólu swego serca. Przez godzinę, w czasie której malec wyprawiał z mamusią pomysłowe figle, pierzchły jej żale.

I gdy Franio, zmęczony skokami na ręku mamusi, zasnął ponownie, Genia, spojrzawszy na jego wesołą buzię, rzekła spokojnie:

– I ja cię, mój skarbie, chciałam pozbawić ojca? O, nigdy! Nie zrobię ci tej krzywdy. Ojciec będzie ci potrzebny do opieki, do nazwiska, do pomocy. Nie odbiorę ci go, moje skarby jedyne...

Pobiegła do gabinetu męża, list włożyła do koperty, kopertę do książki, książkę do biblioteki.

I nie doczekawszy się męża, ułożyła się do snu z modlitwą przebaczenia na ustach. W nocy spać nie mogła. W główce jej powstało okrutne postanowienie: oto przysięgła sobie, że zwycięży wszystkie „Kotki“ potęgą swojej miłości.

— Żadna z nich nie będzie mogła ukraść mi serca, które przywiążę silnie, o bardzo silnie do siebie! Bo może to i moja wina, że kochałam Frania goręcej i serdeczniej niż męża?

Myśli cisnące się jej do głowy, odzierały „poświęcenie“ kobiety z uroków męczeństwa, przypominając słowa doświadczonej a szlachetnej matki:

— Kobieta przeznaczoną jest do miłości i wyrozumiałości...

A gdy śród tych rozmyślań, Franio się obudził, tuliła go gorąco, mówiąc doń:

— Ty, ty mały nauczycielu mych obowiązków!

V.

List pozostał w swem miejscu. Spoczywa zapewne tam dotąd, bo Genia nie dokończyła Bourget'a. Tonu stosunku z mężem nie obniżyła. Czy „Stach“ przebywa obecnie częściej w domu i czy listów nie odbiera?

Genia nie ma czasu zajmować się tem, bo właśnie Franio zyskał śliczniuchną i jak dwie krople podobną doń siostrzyczkę — Genię. *P. R.*

## Częstochowska Pani.

Częstochowska Pani, o nasza!
Z nieba mię wspomódz racz.
Ot biednam dziecina lasza,
Zawodzę cichy płacz.

Kiedy kościół duszy, co widny
Jak źródło do dna, w głąb,
Zamąci brzydki, ohydny
Pocisków chciwych ząb,

Oto ciszy trzeba — Anielska —
W łaskę mię swoją tul,
Abym jak w grzyby i w zielska,
Nie porósł w własny ból.

O, mam ja moc! ciężar na ramię
Ogromny nałóż mi;
Lecz niech mię tylko nie łamie
Ta gorycz cichej łzy.

Częstochowska Pani, o nasza!
Od smutku Ty mnie chroń,
Bo mnie, Ochrono lasza,
Potrzebna jasna skroń.

*A. S.*

## Złote myśli.

Trzeba mieć bardzo szlachetną duszę, aby odczuć inną szlachetną duszę.

* * *

Dusza nasza nie jest płytką fotograficzną, na której odbija się świat zmysłowy, lecz jest machiną, która z gruntu przerabia spostrzeżenia pochodzące od świata. *Bolesław Prus.*

# Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy“ przez **P. Otrys.**

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

— Cieszy mnie to bardzo! Zadmuchnij pan tymczasem świecę, inaczej zgromadzi się przed domem tłum ciekawych. Inspektor zgasił świecę.

— Zdaje mi się, — rzekł Goring, — że nasz złoczyńca jest początkującym dopiero w takich sprawach. Dzieło swoje wykonał trochę pospiesznie i niedbale — bez zachowania wszelkich środków ostrożności.

— Aha, to pan domyślasz się już, kto jest mordercą! zawołał inspektor żywo.

— Nie, jeszcze nie! Ale co do jednego punktu, to jestem jak najmocniej przekonanym, że pieniądze ukradł ktoś, znający bardzo dokładnie rozkład domu i zwyczaje mieszkańców jego. Złodziej ten nie wszedł oknem i nie miał pomocników, ale może się mylę..... Może pan jesteś innego zdania..... Idźmy teraz znowu do jadalnego pokoju i radźmy dalej o tej dziwnej sprawie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Gdy obydwaj dawniejsze w jadalni zajęli miejsca, wyjął Goring cygaro z kieszeni i rzekł swobodnie:

— Zapalę teraz cygaro, pan zaś opowiedz mi, co o tem wszystkiem sądzisz. Nie palisz pan?

— Nie, — brzmiała krótka odpowiedź inspektora.

— Zdaje mi się, że pan niezupełnie podzielasz moje zapatrywania, — uśmiechnął się detektyw.

— Przyznaję, że jestem nieco zmieszany, i że wszystkie moje domysły zaczynają upadać, jeżeli okno nie zostało otworzonem z strony zewnętrznej! Nie rozumiem tego!

— Posłuchaj pan, — rzekł Goring, zapalając spokojnie cygaro. — Zawrzyjmy poprzednio ugodę! Pan jesteś dzielnym i praktycznym wogóle urzędnikiem, ja natomiast jestem specyalistą w moim fachu. Nie lubię morderców — porządny złodziej, przebiegły fałszerz i tym podobni złoczyńcy są mi o wiele sympatyczniejszymi. W moich oczach nie są mordercy interesowni, bo wykazuje się zawsze, że to albo szaleńcy, albo na wpół nieprzytomni — dzicy — brutalni ludzie. Ja lubię osoby ucywilizowane, o wyraźnych charakterach, a złodzieje i fałszerze posiadają zwykle wielkie zdolności i znaczną porcyą rozumu. Mam więc do czynienia z ludźmi o moralnym rozsądku i wtedy czuję się w moim żywiole. Podzielmy się tą sprawą! Panu zostawiam wynalezienie mordercy, ja zaś odszukam złodzieja! Jest to dobra myśl, nieprawdaż?

— Hm, tak, bardzo dobra, ale w końcu wyjdzie wszystko na jedno, bo kto zabił panią Davorn, ten też ukradł jej pieniądze. To przecież jasne jak na dłoni!

— Myślisz pan?

— Czy można jeszcze o tem wątpić? — zawołał Briges zdumiony.

— Właściwie — tak! I to dla kilku ważnych powodów. Naprzykład już to samo, że, — ale niech się pan zanadto nie zdziwi — że doktor Percival sądzi, że nie chloroform jest przyczyną śmierci pani Davorn....

— Co u licha! — krzyknął Briges patrząc z niedowierzaniem na detektywa. — Czy to prawda? A ja byłem jaknajmocniej przekonanym, że..... Mówił on panu o tem?

— Wyraźnie, — nie! Jest on zbyt ostrożny, aby twierdzić na pewno coś podobnego, zanim rzeczy tej bliżej nie zbada, ale sądząc z tego, co dziś rano wspomniał, doszedłem do przekonania, że powodem śmierci jest coś innego. Zręcznym pytaniom detektywa nie oprze się najostrożniejszy nawet lekarz. Ale jakże, zgadzasz pan się na nasz podział pracy?

— Bardzo chętnie!

— Więc ulżyj pan swemu sercu i wypowiedz otwarcie swoje zdanie, domysły, podejrzenia i zamiary. Po gorliwym i sumiennym Metcalfie byłeś pan pierwszym na miejscu zbrodni, znasz sąsiednich mieszkańców, całe nieomal Clayfeld, łatwiej ci zatem będzie odszukać właściwe ślady. Pomóż mi w odszukaniu złodzieja, a ja pomogę szukać ci mordercy. Pracowałem dziś już dosyć pilnie, ale przyznaję szczerze, że nie znalazłem nic zgoła jeszcze!

— Ja także nie mogę się przyczynić żadnym rezultatem!

— O nie, pan zaszedłeś już dalej, niż ja, przedewszystkiem jednak zacznijmy znowu od początku.

— Uczynię wszystko co pan każesz — a wszystko o czem wiedziałem, powiedziałem panu już poprzednio!

— Chciałbym przecież poznać najtajniejsze myśli pana, o tyle naturalnie, o ile to się naszej sprawy tyczy. Jesteśmy teraz sprzymierzeńcami i musimy otwarcie mówić — a pan ukrywasz coś przedemną!

— Bynajmniej, twierdzę tylko stanowczo, że złodziej i morderca — to jedna osoba, — upierał się inspektor.

— Może być! Ale proszę, mów pan teraz! Ach, jeszcze jedno, kiedy odbędzie się sądowe przesłuchiwanie świadków?

— W sobotę, o jedenastej przed południem! Co zaś do mego zdania, to nie wiem już, co myśleć, tak mi owe okno wszystkie pomieszało szyki!

— Nic nie szkodzi! Mów pan dalej.

— Po oddaleniu się wczoraj Steinwortha i Vickerego — zaczął teraz inspektor poważnie — zjawił się tutaj doktor Maurycy Ewans. Umówił on się z panną Rodney, że dziś odbędzie się ich ślub, czy to z pozwoleniem pani Davorn, czy też bez tego, byliby jednak oboje woleli, aby zmarła zgodziła się na ich związek. Ale pani Davorn niecierpiała Evansa, i bądź co bądź nie byłaby mu dała ani grosza pieniędzy. Myślała ona, że młodemu lekarzowi chodzi daleko więcej o majątek, niż o narzeczoną, wiedziała, że biedny znajduje się formalnie w nędzy i, że nadto posiada mnóstwo drobnych długów. I tak pokłócili się oboje, a zmarła nie szczędziła mu przykrych słów. Jeden z lokatorów był świadkiem tej burzliwej sceny — zeszedł zapewne cicho z schodów i podsłuchiwał pod drzwiami. Lokator ten musiał też wiedzieć, że znaczna suma pieniędzy znajduje się w domu w pokoju pani Davorn.... Cóż więc łatwiejszego, jak poczekać do nocy, ogłuszyć właścicielkę i zabrać banknoty?

— O, czekaj pan, zawołał Goring — czy wiesz, że ten, kto podsłuchiwał był w tak fatalnem położeniu finansowem, że dla uzyskania pieniędzy nie zawahał się nietylko przed kradzieżą ale i nawet przed morderstwem?

— Wiem, że potrzebował bardzo większej sumy — tak bardzo, że byłby uczynił wszystko, byleby nie ściągnąć na siebie podejrzenia kradzieży!

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Byłem dziś u szefa banku, w którym on pracuje.

— Widzę, że pan masz na myśli Steinwortha.

— Tak! Miał wyjechać dziś na kilka dni za urlopem, a więc nie kłamał dziś rano, gdy mówił o wyjeździe. Jego książki bankowe są w największym porządku ale stracił dużo pieniędzy na zakłady na wyścigach konnych. W Clayfeld mieszka pewien agent, w którego towarzystwie często Steinwortha widywałem, poszedłem więc do niego i dowiedziałem się, że Steinworth niedawno stracił przeszło dziesięć tysięcy marek. Zagrożono mu fantowaniem rzeczy w razie, gdyby ich nie zapłacił.

— Ale to właściwie rodzaj długu honorowego — każdy uczciwy wierzyciel przedłuży chętnie termin zapłaty.

— Komornik sądowy obłożył jednak aresztem jego pensyą, to zaś byłoby kompletną ruiną dla Steinwortha, bo dyrektor banku oddaliłby go natychmiast!

— Ile on pobiera miesięcznej pensyi?

— Blizko pięćset marek.

— No, dziesięć tysięcy marek długu, to znaczna suma dla młodego kupca, mającego rocznie około sześć tysięcy dochodu. Najlepiej byłby uczynił, gdyby był uciekł!

— Ani mu to przez myśl nie przeszło, bo ma widoki na wielką sukcesyą. Stary wuj, po którym odziedziczy cały majątek, jest słaby, a oprócz tego otworzył on sam na placu wyścigowym małe biuro zakładowe, naturalnie pod innem nazwiskiem. Aby wybrnąć z kłopotów, w jakich się znalazł, potrzeba mu było krótkiego czasu!

— Lichwiarze pożyczyli mu pewnie pieniędzy na ogromne procenta, nieprawda?

— Tego nie wiem. W każdym razie jestem mocno przekonanym, że on pani Davorn nie chciał zabić tylko ją uśpić, licząc na to, że podejrzenie padnie na Vickerego lub na doktora Evansa, ponieważ obydwaj mają chloroform. I ci

dwaj panowie mają wielkie kłopoty pieniężne, jak ogólnie wiadomo. Jeden z nich potrzebuje chloroformu do swoich wynalazków, drugi musi go mieć, będąc lekarzem. Może też miał Steinworth inne jeszcze powody, które go umocniły w przekonaniu, że nikt go o czyn ten nie posądzi! Zdaje mi się, że wypowiedziałem jasno moje zdanie.....

— Tak, idźmy dalej! Stanąłeś pan przytem, że Steinworth podsłuchiwał pod drzwiami. I cóż ztąd?

— Podsłuchuje więc i nagle przychodzi mu świetna myśl do głowy. Czeka aż do północy lub jeszcze dłużej, spuszcza się za pomocą sznura lub czegoś podobnego z okna swego pokoju, chloroformuje panią Davorn, kradnie banknoty, zamyka swoją sypialnią na zewnątrz.....

— I pokój Vickerego! I potem.....

— Czekaj pan! nie zapomniałem o niczem! Steinworth rozważa, że wyglądałoby dziwnie, gdyby tylko jego pokój był sam zamknięty — zamyka więc i Vickerego. Przebiegły młodzieniec! Potem schodzi na dół, wraca przez okno parterowe do ogródka i za pomocą sznura dostaje się znowu do swego pokoju na górze.

— Świetny to rzeczywiście pomysł dla — Steinwortha — rzekł Goring po chwili milczenia — ale na nieszczęście, mylisz się pan zupełnie!

— Jakto?

— Bo tak się rzecz nie działa! Wchołzenie i wychodzenie przez okno jest poprostu niemożliwem!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

— Wiem, że pan obstajesz przy swojem, to jest, że okno nie zostało na zewnątrz otwartem — rzekł Briges rozgniewany.

— Tak jest — odpowiedział Goring spokojnie. — Złodziej pana nie mógł być doprawdy tak głupi, aby się spuszczać z jednego okna, wchodzić przez drugie i dać się schwytać na gorącym uczynku przez byle kogo! Mógł przecież zejść ze schodów, zamordować śpiącą, wziąść pieniądze i zamknąć drzwi swego pokoju, do którego wszedł potem inną drogą. Jaką ta droga była, tego jeszcze właśnie nie wiemy dotąd.

— Naturalnie, że i to możliwe — przyznał inspektor.— Głowa moja tak przepełniona domysłami i przypuszczeniami, że już nie mogę zebrać jasnych myśli. Masz pan słuszność — dodał przygnębiony.

Goring uśmiechnął się.

— Więc Steinworth — rzekł znowu — nie spuścił się na sznurze z okna swego pokoju, ani też wrócił w ten sposób. Prosty rozum powiedziałby mu zaraz, że odkrytoby natychmiast taką podróż, a każdy złodziej, nawet początkujący, ma tyle instynktu, że zaciera starannie wszelkie ślady po sobie. Wszyscy wiedzą przecież, że policya szuka przedewszystkiem śladów nóg i on też wiedział o tem!

— Więc i pan podejrzywasz Steinwortha?

— Nie mówię tego — nie podejrzywam chwilowo nikogo, bo gdy się później okaże, że podejrzenie jest fałszywem, to musimy znosić szyderstwo innych i gniewamy się niepotrzebnie. Trzeba najpierw mieć jaką taką pewność. Obecnie rozpatruję tylko pilnie całe położenie rzeczy i rozważam wszelkie możliwości. Steinwortha znam jeszcze za mało, o przeszłości jego nie wiem nic zgoła. Tak samo mógłbym powiedzieć, że uważam go za wzór cnót...

— Wiesz pan o nim tyle, co i ja — mruknął Briges niechętnie.

— Bardzo dobrze! Przypuściwszy, że podejrzywam go o kradzież, to jednak nie wierzę, abyś pan miał słuszność. Musiałby on być chyba idyotą, gdyby chciał wejść z dołu do swego pokoju, leżącego na pierwszem piętrze. Przedewszystkiem musiałby być skończonym akrobatą, a wątpię, czy nim jest, powtóre zaś namyśliłby się pewnie bardzo, zanim by taki manewr wykonał — wszakże pokój jego znajduje się od ulicy, więc stróż nocny lub pierwszy lepszy przechodzący mógłby go widzieć. Nie, nie! Jeżeli on te pieniądze ukradł, to zabrał się do dzieła bardzo zręcznie i ostrożnie. Czy pieniądze ukradł umyślnie i przytem przypadkiem panią Davorn zabił, czy też jest niewinnym — tyle tylko wiem z wszelką pewnością, że tej nocy nie wyszedł z domu inną drogą, jak drzwiami.

— W takim razie on jest niewinnym i uczynimy może lepiej nie mówiąc już o nim — rzekł Briges.

— No, no, nie gniewaj się pan zaraz. Spokój i rozwaga doprowadzają prędzej do celu, niż gniew.

— Ależ Steinworth nie mógł się zamknąć na zewnątrz, w swoim pokoju — zawołał Briges w uniesieniu. — Przecież to głupstwo! — dodał, wzruszając ramionami.

— Tak jest, przyznaję! Zbadałem dokładnie zamek i wiem, że w żaden sposób nie można go zamknąć na wewnątrz.

— Vickery także nie mógł być jego wspólnikiem, bo obydwaj utopiliby się najchętniej w łyżce wody. O jakiemś więc porozumieniu ich się ani mowy nie ma!

— A zatem żaden z nich nie mógł zamknąć swego pokoju i obydwaj są niewinni!

— Jeżeli nie mieli wspólnika... a jeżeli, jak pan mówisz, nikt przez okno do domu nie wszedł, bo nigdzie nie można odnaleść śladów włamania, wtedy — no — wtedy trzeba nam się zwrócić do — panny Rodney!

— Zostaje jeszcze doktor Evans — zauważył Goring.

— I doktor Evans? — powtórzył Briges zamyślony.

— Zacznijmy więc od niego! W jakiej opinii stoi ten młody człowiek?

— W bardzo złej, niestety! Jest to gwałtowny, dziki charakter — znam go od kilku lat, od czasu, gdy był jeszcze na uniwersytecie i mieszkał w Witechapel. Był to wówczas mój obwód. Unikano go ogólnie i nikt go nie lubił dla jego niepohamowanej porywczości, ale to właściwie nie należy do rzeczy. Szaleństwa młodości minęły i zmienił się może pod tym względem. Osiedlił się tutaj jako lekarz, ale szczęście nie sprzyjało mu wcale.

— Słyszałem już o tem. Renoma jego jest tak złą, jak już gorszą być nie może!

— Wyznaje on zupełnie otwarcie, że chciał uciekać do Ameryki i że wszystko do ucieczki było przygotowane. Tym sposobem chciał się pozbyć długów, które go formalnie przygniotły.

— Rzuca to bardzo niekorzystne światło na jego charakter, zdaje się jednak, że kłopoty pomieszały mu trochę rozum, inaczej nie przyznawałby się do tak szalonego zamiaru.

— Wyglądał też dziś rzeczywiście bardzo nieprzytomnie.

— Dobrze. A teraz do panny Rodney. Jest to prześliczna dziewczyna! Gdybyśmy podejrzywali ją o popełnienie tej zbrodni — byłoby to okropnem, nieprawdaż!

— Ach, mnie się już nic okropnem nie wydaje — odrzekł Briges urażony — bylebym tylko znalazł dowody!

— Ale, kochany panie inspektorze, czy to nie o wiele prościej przypuszczać, że młody lekarz, nie mający kawałka chleba a pełno długów, chwyci się ostatecznie takiego środka? Umie on się obchodzić z chloroformem, czego od Steinwortha, jako od kupca, żądać nie można, i chce koniecznie poślubić siostrzenicę i jedyną krewną zmarłej. Czy nie miał prawa do jej pieniędzy, tem więcej, że nigdy nie potrzebował ich tak bardzo, jak właśnie teraz?

— Tak, masz pan słuszność — więc podejrzywasz na seryo doktora?

— Oho, tak daleko jeszcze nie jesteśmy! Co do chloroformu, to sam dotychczas nie wiem, w jaki sposób to wytłomaczyć. Gdybyś pan był zwrócił większe podejrzenie na Vickerego, wtedy byłoby to zupełnie co innego! Pokój jego jest tak zastawiony butelkami i flakonami, jak gdyby je uważał za najpiękniejszą dekoracyą salonu.

— Wszakże przyznałeś pan poprzednio, że on nie mógł się zamknąć w pokoju?

— A dlaczego nie miałby Vickery mieć wspólnika? Zresztą nie widzę powodu, dla którego nie miałby on właśnie wykonać owej podróży przez okno? Jemu przecież nie sprawiałoby to tyle trudności! Przed jego oknem nie ma deski z doniczkami, które mogłyby zdradzać jakieś ślady, jego pokój nie leży od ulicy, tylko od strony małego podwórka, na którem nie palą się wielkie latarnie i na którem nie ma ani stróża, ani przechodzącej publiczności!

— O, i to ma coś za sobą! Ale na czem skończymy? Nie zbliżamy się wcale do głównego punktu sprawy, tylko błądzimy po bezdrożach. Mówiłeś pan, że doktor Percival orzekł, że chloroform nie jest powodem śmierci pani Davorn?

— Kochany panie inspektorze, nie zapominaj proszę o tem, że ja myślę tylko o mojem zadaniu, to jest znalezieniu złodzieja. Morderstwo nie obchodzi mnie wcale.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

## POWIEŚĆ ORYGINALNA,

**osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,**

napisana przez

**Alberta Gorowskiego.**

(Ciąg dalszy.)

Z czerwonemi nosami oficerowie grają w karty i popijają ponczem. Wielu bawi się samą pogadanką. Wyfrakowane kelnery i markiery snują się jak usłużne duchy, obnoszą, podają i odbierają, istny chaos ruchu i gwaru.

Pan Stanisław szedł z nieznajomym w stronę Krakowskiego przedmieścia, spotykały ich w drodze zamaszyste postacie, czasem przechodził koło nich kontusz, częściej przechodziła czamarka, wielu z przechodniów stawało i patrzyło na Stanisława i na jego towarzysza, jedni witali ich skinieniem głowy, drudzy wyciągali do nich ręce i rozmawiali z nimi w przechodzie.

Pan Stanisław i jego towarzysz wstrzymali się przed kawiarnią pod „różą“ rozglądnęli się w koło, wszędzie panował zwykły ruch i zwykły gwar miasta i nic nadzwyczajnego nie zatrzymało ich uwagi.

Wchodzących do kawiarni witali niektórzy z tłumu, niektórzy z porozumieniem spoglądali na nich, a w tej licznej znajomości, w tych spojrzeniach, rzucanych na siebie, leżała jakaś zagadka, którejby niewtajemniczony rozwiązać nie umiał.

Pan Stanisław z nieznajomym odwiedzał często kawiarnię pod „Różą“; byli oni w niej codziennymi gośćmi, rozwinięte dzisiejsze życie socyalne, nie przykuwa człowieka do domowego kąta, mówi ono doń wyraźnie: idź między ludzi.

## V.

— Oczywista rzecz, popsuł surdut, a popsuł, jak on te guziki poprzyszywał! tobie buty szyć, a nie krawcować! idźże sobie na cztery wiatry, na złamanie karku precz, i nie pokazuj mi się tu więcej w warsztacie, bo jak Boga kocham, łokieć bym na tobie połamał.

— Panie majster, panie majster! ja już tego póki życia nie zrobię.

— Nie, ruszaj na cztery wiatry! zeszłego tygodnia było to samo z kamizelką tego tłustego doktora, dwie niedziele temu było to samo z pantalonami tego młodego praktykanta, idź, ruszaj, ruszaj.

— Panie majster, ja się poprawię, nie wyganiajcie mnie z domu, bo mi zmarnieć przyjdzie.

— Zmarniej, niezmarniej, mnie nic do tego, a teraz zabieraj się, zabieraj ztąd i wynoś co prędzej, wynoś mówię, póki jeszcze dobrze, bo jak mi cierpliwości nie stanie, to zobaczysz, co ja z ciebie zrobię; taki surdut, takie guziki, wynoś się, wynoś nicponiu!

Było to ultimatum pana majstra, interpelacye wszelkie nicby nie pomogły. Wiedział o tem Wojtuś, to też się i zabrał coprędzej i wyniósł.

— Nazywam się Wojtuś Bomba — mówił zapłakany chłopiec do siebie, idąc naprzód nosa ulicami miasta. Terminowałem cały miesiąc u mojego majstra, ale mi się krawieczyzna nie czepiała głowy, popsułem pantalony, kamizelkę i surdut i wygnał mnie majster, z nim nie ma żartów. No i cóż ja teraz pocznę biedny, ani mi się pokazać do domu, bo by mi łeb urwała matka. Oj źle ze mną, mój Boże!

Jeszcze serdeczniej rozpłakał się chłopiec, było mu tak smutno i ciężko, żeby był i nieżyć wolał.

Idąc, przechodził obok otwartego kościoła. Smutnego ciągnie do modliwy, mimowoli wszedł do kościoła, wsunął się w najciaśniejszy kącik, ukląkł i począł odmawiać pacierze. Odmówił kilkanaście Ojczenaszów, litanie do Najświętszej Panny, i do Jezusowego serca, i lżej mu się zrobiło na sercu, łzy przed chwilą strumieniem mu z oczów ciekące przestały płynąć i nabrał wielkiej otuchy.

— No i cóż, kiedy krawcem być nie mogę, mogę ci być przecież czym innym — mówi po długim namyśle — czy to tylko krawcy na świecie? są stolarze, ślusarze i szewcy.

Wyszedł Wojtuś z kościoła, idzie ulicami i myśli głęboko. Czasem popatrzy w bok siebie, czasem potrąci jakiego przechodnia, czasem kto jego poszturchnie, ale to wszystko nie przerywa mu ciężkiej medytacyi. Uwagę jego zatrzymała wreszcie szewska wystawa. W politurowanej szafce, za szklanemi szybami stały rzędem nowiuteńkie, błyszczące od czernidła różnorodne buciki i buty; wszystkie te utwory kunsztu szewskiego, miały wielki urok dla gapiącego się na nie Wojtusia.

— Owa, jakie to długie cholewy — wykrzykuje w ekstazie — ba, a jakie to guziki świecące przy tych półbucikach, i to wszystko szewc robi i szyje. Lepiej to przecież szewcom niż krawcom na świecie — chodziło mu ciągle po głowie.

Z ciężką biedą oderwał się przecież Wojtuś od wystawy szewskiej, szedł ku domowi i rozmyślał nad tem, jak on się to w domu pokaże. Z ojcem jak z ojcem, byłoby jeszcze pół biedy, ale z matką będzie ciężka sprawa.

— Po mojej chorobie szukała matka za majstrem dla mnie, znalazła go przecie, i cóż z tego, kiedy mnie majster wyścigał.

Przyszedł wreszcie Wojtuś przed dom, namyślał się trochę, potem nabrawszy serca, szedł w izbę.

Pani Katarzyny nie było w domu, nie wyszła jeszcze jej godzina, do trzeciej z południa nie rzucała nigdy swego stanowiska. Pan Mikołaj krzątał się koło komina i gotował obiad; Franka chora leżała w szpitalu, a inną dziewczynę nie było zaco przyjąć do usługi, w dostatni dawniej domek państwa Bombów brak się wkradać poczynał; pani Katarzyna robiła co mogła, od samego świtu wychodziła na targ, zabierając ze sobą niemal całą piwnicę, zachęcała całem gardłem kupujących do swoich cebulek, pietruszki i chrzanu, ale jakoś wieść jej się nie chciało, w domu gniła jej jarzyna w piwnicy, na targu mało kto u niej kupował. Po powrocie z aresztu zapożyczyła się na kilkanaście złotych u żyda, żyd przyciskał, trzeba było spłacać dług i procenta, od rzeczy co je pan Mikołaj pozastawiał na Franciszkańskiem, trzeba było także płacić, inaczej by je żyd zagrabił, a tu o grosz było tak trudno, że choć pani Katarzynie schła głowa z myślenia, przecież nic wymyślić nie mogła.

Kiedy Wojtuś wszedł w izbę, pyta go pan Mikołaj:

— A tyś po co tu przyszedł, czy to nie ma u was roboty?

— Jest tatusiu, ale ja krawieczyźnie wydołać nie mogę, popsułem pantalony, kamizelkę i surdut i wyścigał mnie majster.

— Wyścigał!

— A jakże tatusiu — mówi chłopiec i płacze.

Pan Mikołaj zadumał się.

— No, no, nie płacz Wojtusiu — mówi i głaszcze go po głowie — jakoś to będzie, ja zaraz z początku powiedziałem matce, że ty nie na krawca, cóż kiedy ją nie przeprzę.

— Wiecie tatusiu, jabym miał okrutną ochotę na szewca, co but, to but, zawsze to ze skóry, a nie ze sukna.

Dalszą dysputę Wojtusia przerwało wejście pani Katarzyny. Wojtuś bojąc się pokazać matce na oczy, zapchał się w najciaśniejszy kącik. Pani Katarzyna zdjęła kosze z ramion i postawiła na ziemię, zakręciła się za czemś po izbie i zaszła w kąt, w który się chłopię wcisnęło.

— Wojtuś! Wojtuś! a ty co tu robisz?

Wojtuś wylazł z kąta i stanął przed matką, chciał coś mówić, ale nagły wybuch płaczu nie dał mu przyjść do słowa.

— Co to się stało dla Boga? gadajno ty Mikołaju.

Wojtuś u majstra juścić coś popsuł, i majster go wygnał. Dawszy objaśnienie, wyczekiwał pan Mikołaj wybuchu gniewu swojej połowicy, Wojtuś spoglądał w twarz matki z obawą.

Pani Katarzyna była to sobie poczciwa kobieta, miała ona tylko tę jedną przyrodzoną wadę, że łatwo wpadała w gniew wielki, a wtedy z nią trudno było dojść do końca. W chwilach takich dostawało się coś od niej każdemu; jeśli to działo się w domu, Wojtuś dostawał szturchańca, a bywało nieraz oberwie się i panu Mikołajowi samemu. Ostygłszy w gniewie pani Katarzyna łagodniała jak dziecko, tych co

poturbowała przepraszała sumiennie i strofowała sama siebie, że się w pasyi za daleko uniosła.

— Ja temu nic nie winna, to już taka moja zła natura, mawiała na swe usprawiedliwienie.

Od powrotu z aresztu nie było jeszcze ani jednej burzy ze strony pani Katarzyny. Kiedy jej weszło czasem co w drogę, rzuciła się i zadąsała w pierwszej chwili, ale to się już na tem kończyło. Pan Mikołaj nie wierzył w zupełne przeistoczenie usposobienia drogiej połowicy.

— Moja Kasia, to z kościami dobre kobiecisko, ale lubi się gniewać; ona nie winna za to i taka już będzie do grobu, rozmyślał pan Mikołaj w duszy.

Wojtuś co jeszcze filozofować nie umiał, przeskrobawszy co, bał się bardzo matki i jej szturchańców.

Pani Katarzyna tym razem, mimo istotnej przyczyny gniewu, nie gniewała się wcale. Zmordowana całodzienną pracą, siadła na krawędzi łóżka i kazała sobie opowiadać dziecku wszelkie powody jego haniebnej ekspulsyi.

Wojtuś opowiadał z największą skrupulatnością, opisywał guziki surduta, o który chodziło, nie pominął kamizelki i pantalonów praktykanta, mówił o igłach i nitce, o sztychach prostych i krzywych, i bronił jak mógł siebie.

— Widzicie matusiu, bo ja nie na krawca — zakończył rozprawę.

Pani Katarzyna nie dała żadnej odpowiedzi, siedziała z załamanemi rękami i rozmyślała o swym jedynaku.

— Ja wiedziała, że tak przyjść musi — powiada po chwili — od dnia jakem powróciła z aresztu, nic mi się nie wiedzie, jakby ręką uciął. Bożeż mój Boże, za co ty mnie karzesz tak ciężko. W domu bieda, że ciężko z niej wybrnąć, żyd mi głowę o procenta suszy, pogniła w piwnicy pietruszka i marchew, po całych dniach nic utargować nie mogę, dziś nie zebrałam złotówki. Myślałam-ci, żem z dzieckiem choć doszła do końca, nie wyszedł miesiąc i znowu jest jak było, wyścigał go majster.

Pan Mikołaj kiwał głową i patrzał na żonę.

— Ot nie lamentuj, Kasiu — mówi — prawdać bieda na nas przyszła ciężka, ale my się jej także nie damy.

Pan Mikołaj żywił w sercu nadzieję lepszej przyszłości, spodziewał się zawsze polepszenia doli, wyczekiwał nadzwyczajnej pomocy z nieba i nie tracił ducha; udzielał i Kasi po szczypcie nadziei swoich, ale ta nie była skłonną do przyjmowania podobnego pokarmu.

— Tobie Mikołajku zawsze świta w głowie — mówi — zkąd może być lepiej, kiedy tu nie ma ani sposobu wydostać się z biedy. Ot, co pocznę teraz z Wojtkiem; w domu ani go nie ma trzymać o czem, ani bym mu też nie dała próżniaczyć, rozwałęsałby się chłopiec i nicby z niego nie było; trzeba go dać koniecznie do jakiego rzemiosła, ale gdzie mu majstra znajdę.

— Nie turbujno się Kasiu tak bardzo, jakoś to będzie, nie zaginiemy na świecie, a Wojtek pójdzie do szewca i będzie szył buty.

— Matusiu, ja koniecznie pójdę do szewca, z butami nie ma takiego kłopotu — odpowiedział Wojtuś — będę czeladnikiem i zostanę majstrem.

Stanęła nareszcie familijna narada, pan Mikołaj perswadował, Wojtuś dopowiadał i w różowem świetle przedstawiał swoje nadzieje, jakie pokłada w przyszłości; oponowała pani Katarzyna, a że wyszło w końcu na to, że Wojtuś pójdzie do terminu do szewca, chodziło jeszcze tylko o umieszczenie go przyzwoite u jakiego „porządnego“ majstra.

Zdaniem pana Mikołaja nie opłaciło się łamać nad tem wiele głowy:

— W Warszawie szewców jest dosyć — powiadał — Wojtuś poczciwych rodziców syn, to go jużcić który przyjmie.

Najlepiej szyje buty w całej Warszawie pan Mateusz Gruszka, jest to bowiem szewc z dziada pradziada, przywiązany do swego rzemiosła i pełniący je z wielką sumiennością, z wyjątkiem poniedziałków, w które zwykle pija.

Pan Mateusz chodzi, wtedy kiedy można, w granatowej czamarze, nosi wysoką konfederatkę na głowie a palone buty na nogach. Jest dobrej tuszy, ma sumiaste wąsy, chrapie kiedy śpi i gada grubym basem.

Pan Mateusz ma warsztat przy placu Krasińskich, trzyma zwykle dwunastu czeladników a przecież nie może wydołać robocie; jego robotę zna cała Warszawa, a pół Warszawy chodzi w jego butach.

Pan Stanisław znał się z panem Mateuszem i żył z nim w kordjalnych stosunkach. Minęły te czasy kiedy to stany jedne od drugich były oddzielone kratką, szewc był szewcem i siadywał w szynku na ławie, albo na swoim trójnogu, pan był wtedy panem i stronił od gminu, gmin mu się kłaniał a on głowę wznosił. Dziś panów bardzo dużo na świecie; lada gach liźnie trochę książki, wdziewa rękawiczki i wiewa laseczką; gdy potomek zacnego jakiego szlacheckiego imienia, wsadza okrągły kapelusik na puściuteńką głowę, szlifuje bruk uliczny lakierowanemi, wyłganemi na kredyt patynkami i antiszambruje po wyfiokowanych salonach żon dorobkiewiczów, owóż taki nicpoń w zetknięciu się z prawdziwemi panami, z panami, którzy jeszcze nie roztrwonili swe państwo i nie obrzucili je błotem, zadziera głowę do góry i miewa ambitne pretensye i brata się z nimi, trudnoż więc uczciwemu rzemieślnikowi, który systematyczną pracą całego żywota i skrupulatną oszczędnością, odmawiającą sobie najmniejszej wygody dorobił się lada fortunki, aby miał znosić cudze fochy i nie zamarzył czasem o pretensyi państwa.

Pan Mateusz nie miał pretensyi do państwa; dysputując w tej materyi uderzał się w piersi i mawiał z ferworem: „Jestem sobie szewc mości dobrodzieju i to szewc uczciwy, mój dziad był szewcem i mój syn nim będzie.“

Pan Stanisław, szlachcic z dziada pradziada, miał swoją drogą różne ambitne poglądy, ale obcowanie z szewcem nie uważał za uchybiające jego własnej godności. Solidarność łącząca go z panem Mateuszem była szczególnego rodzaju, zasadzała się ona na częstych politycznych dyskusyach, odbywających się w przepełnionym czeladnikami warsztacie, przy klepaniu skóry.

Pan Mateusz mówił swoje, pan Stanisław mówił swoje, godzili się i niegodzili, tłomaczyli i objaśniali, naturalnie góra była zawsze pana Stanisława.

Pan Stanisław siedzi właśnie obok pana Mateusza i zwykłym zwyczajem prowadzą dysputę. Pan Mateusz wyprowadza co chwila nową kwestyę na tapet i argumentuje ogniście, zasapał się i spocił, powiedział ze sto razy „mości dobrodzieju“, zażył kilka razy tabaki, kichnął jak z moździerza i jeszcze nie doszedł do końca.

Dzisiaj nie wiodła mu się opozycya i coś mu przeszkadzało co chwila.

— A co tam znowu mości dobrodzieju! — zawołał i na drzwi spoglądał.

Weszła pani Katarzyna, prowadząc za rękę Wojtusia; pani Katarzyna miała minę zafrasowaną, Wojtuś rozpatrywał się w koło ciekawie.

— Oto, czybyście nie przyjęli panie majster do terminu mojego chłopaka — pyta pani Katarzyna dygając — do was radzili wszyscy, stolarka Frankowa i krupiarka z za Żelaznej bramy.

— Mości dobrodzieju, a co imość za jedna?

— Jużcić Bombowa Katarzyna, a mój mąż to Mikołaj Bomba.

— Aha, mości dobrodzieju; walnego ma imość chłopaka, a nauczysz ty się chłopcze szyć buty? — pyta pan Mateusz Wojtusia i klepiąc go tłustą ręką po twarzy.

— Nauczę panie majster — mówi rezolutnie Wojtuś — ja zaraz mówiłem tatusiowi kiedy mnie wyprawiali do krawca, że mi krawieczyzna nie pójdzie, z butami to przecie inaczej.

Pan Stanisław patrzał w twarz pani Katarzyny i zdało mu się, że gdzieś już raz widział tę twarz szeroką i długą, patrzał na jej ręce i znowu mu się zdało, że już raz widział te okrągłe, wałkowate ręce i cała postać kobiety była mu znajoma, tylko nie mógł sobie przypomnieć zkąd i odkąd się ta znajomość datuje.

— Teraz już przypominam sobie — powiedział po chwili i przecierał oczy i przyglądał się pani Katarzynie z zajęciem.

— Imości coś teraz nie służy, imość schudła i zmizerniała, czy nie po chorobie? pyta zdziwionej kobiety.

— A co to pana może obchodzić czym schudła, czy nie schudła, kiedym schudła to dla siebie a nie dla nikogo.

— Niechno się imość nie gniewa, ja nie chciałem obrazić, dopytuję się o zdrowie zwykle jak dawny znajomy.

— Trudno by mnie pan znał, kiedy ja pana nie znam, pietruszki pan u mnie nie kupował nigdy, bo bym pana odrazu poznała.

— Niechno sobie imość przypomni: z końcem jesieni, w niedzielę z wieczora, na Bednarskiej ulicy.

Pani Katarzyna pobladła jak chusta i spoglądała na pana Stanisława trwożliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.

# Polska reklama

## dla amerykańskiego humbugu...

Czczą, hałaśliwą, iście amerykańską wrzawą poprzedzają dwaj pospolici spekulanci cyrkowi, Barnum i Balley, przybycie swoje do Poznania, napchawszy kieszenie swoje polskim groszem w Krakowie. Agenci biegają wszędzie i krzątają się, ażeby zaciekawienie i głupotę tłumów podrażnić do najwyższego naprężenia, po gazetach aż się czerni od reklam, a na ulicach i placach widnieją afisze mniejsze i plakaty prawie tak wielkie, jak żagle okrętowe. Słowem funkcyonaryusze już zawczasu rozwijają całą reklamową sztukę, ażeby zwabić do cyrku wszystko, co w Poznaniu żyje, a przynajmniej wszystkich, co mało myślą i ażeby wydrwić od zamożnych porówno jak od ubogich dziesiątki tysięcy marek na cele amerykańskiego..... głupstwa. Byłoby nam to obojętne, czy mniej lub też bardziej suto napchają sobie kieszenie amerykańscy spekulanci, gdyby nie nasuwały się wobec tych szumnych przygotowań cyrkowych dwa poważne krytyczne względy.

Ludność polska porówno w Poznaniu jak na prowincyi w niedoli pogrążona wśród *wyjątkowych* warunków bytu, ma *wyjątkowe* też obowiązki do samozachowawczych usiłowań. Położenie jest niezmiernie poważne, a więc też myśl nasza publiczna głównie w poważnej sferze pracować powinna. Dlatego też nawet dla rozrywki, której każda jednostka potrzebuje, pochwalać należy tylko takie widowiska, które ducha naszego nie psują, ale go podnoszą, i dla których pieniądz poświęcony nie idzie po prostu na marne. Dlatego też w ogólności do cyrkowych spektaklów, bezpożytecznych, nikogo zachęcać nie możemy.

Wiemy atoli, iż trudno z bezwzględną surowością potępiać zaciekawienie i chęć do oglądania karkołomnych figli cyrkowych. Wszakże natura ludzka zaciekawia się mniej do poważnych, niżli do lekkich komedyanckich popisów. Wiemy też, że trudno wywalczyć u ogółu rozpoznanie, iż jakieś tam czcze, beztreściwe, niepouczające widowiska cyrków amerykańskich czy nie amerykańskich w Poznaniu są wydrwiwaniem groszy z polskiej także ludności, ubogiej, zniewolonej oszczędzać szczupłych zasobów na żywotne cele swej obrony. Ale jeśli tak, jeśli w tych czasach, żądających od nas wyjątkowego zapierania się własnych zachcianek bezpożytecznych, nie można być bezwzględnie surowym w narodowych zasadach, to w każdym razie jednego domagać się mamy prawo, a to, ażeby przedewszystkiem prasa nasza, a po za nią także obywatele poznańscy wstrzymywali się od cyrkowej propagandy.

I tu oto wyrażamy otwarcie drugi swój wzgląd krytyczny, który nas skłonił do zajęcia się cyrkową spekulacyą amerykańską. Z zadziwieniem spostrzega się w łamach pism „poważnych“ polecające zawczasu wzmianki o zapowiedzianych na koniec lipca dwóch widowiskach, a z dziennikami ubiegają się o lepsze kupcy polscy w usłużności dla amerykańskich spekulantów. A już do głębi oburzać musi lekceważenie zupełne narodowego poczucia w owych dziennikach i wśród pewnej części naszego stanu kupieckiego. Oto na porozstawionych gęsto plakatach cyrkowych niema, w przeciwieństwie do tych polskich poleceń, ani słowa przeznaczonego dla publiczności polskiej. Owi „znakomici“ twórcy „des grossartigsten und interessantesten Vergnügungsetablissements der Welt,“ pp. Barnum i Bailley, ani się nie zatroszczyli o to, jakiej narodowości jest przeważna część mieszkańców Poznania i prowincyi, ani nie pomyśleli o tem, ażeby „osobliwości“ swojego „nader genialnego“ pomysłu w polskim też języku obwieścić. A my na to co? oto wielu z pośród nas już zawczasu wybiera się na spektakle beztreściwe, niejeden już popuszcza wodzy zmysłowej wyobraźni dowiadując się ciekawie „jakie „cyrkówki“ przywiozą z sobą „wielcy“ Amerykanie, niejeden dziennik zachwala już teraz i do widowiska zachęca, niejeden kupiec Polak nie odmówił miejsca przed drzwiami i oknami wystawnemi dla niemieckich wyłącznie reklam cyrkowych. Na wielu połaciach poznańskich ulic aż się pstrzy od tych wielkich afiszów zachwalających popisy koni, słoni, nosorożców, lwów, tygrysów, niedźwiedzi, linoskoków, komedyantek, no i naturalnie... małp wszelkiego gatunku i rodu. Tylko osłów — jak się zdaje — przezorni Amerykanie z sobą nie przywiozą, licząc zapewne, że tych znajdą w Poznaniu. Jak też ci Amerykanie nas znają! Jak dobrze wiedzą, że z ambicyą polską liczyć się nie potrzeba!

*Noster.*

# Nekrologia.

**S. p. dr. Jan Panieński,**

umarł w Poznaniu dnia 5-go b. m. po długiej chorobie w najpiękniejszym wieku, licząc zaledwie 39 lat.



Ś. p. dr. Jan Panieński.

Zmarły urodził się w 1862 r. w Buku. Studya gimnazyalne odbywał w Poznaniu w gimnazyum Maryi Magdaleny, które ukończył jako 19-letni młodzieniec. Poświęciwszy się medecynie uczęszczał na uniwersytet w Lipsku i w Berlinie. Po otrzymaniu patentu na lekarza był asystentem kliniki gynekologicznej prof. Schrödera w Berlinie, następnie asystentem w klinice chorób nerwowych prof. Mendla i Eulenburga, wreszcie asystentem w zakładzie wodoleczniczym w Elgersburgu w Turyngii.

Do Poznania przybył w roku 1889 i osiadł tu jako specyalista w chorobach nerwowych. W krótkim czasie zdobył sobie bardzo rozległą praktykę, założył klinikę i wreszcie przy tej klinice największe dziś w Poznaniu łazienki, urządzone według nowoczesnych wymagań hygieniczno-sanitarnych. Nadmiar pracy potargał jego wątłe siły i przyprawił go o chorobę, której uległ wreszcie, opłakiwany przez rodzinę i przyjaciół, a żałowany przez liczne koła pacyentów, którzy u niego szukali rady i pomocy. Zmarły mile był wszędzie widziany, odznaczał się bowiem nadzwyczajną uprzejmością i łatwością obejścia, która mu jednała ludzi. To też przedwczesny zgon tego młodego, a dzielnego lekarza wywarł w szerokich kołach społeczeństwa szczery i głęboki żal oraz współczucie dla ciężkim smutkiem dotkniętej rodziny. — Cześć Jego pamięci!

* * *

**S. p. Ignacy Żółtowski,**

znany filantrop i patryota, zmarł dnia 6-go b. m. w Krakowie w 87 roku życia. Całe życie zmarłego było jednym ciągiem dobroczynności. Dwie sprawy ś. p. Żółtowski kochał nad życie i tym całą swą uczynność poświęcił: sprawę polszczyzny na Szlązku i zdrowie dzieci. Dla ostatnich założył w Kochanowie własnym kosztem kolonię leczniczą. R. i. p.

## *Baczność!*

## Baczność przy zmianie kwartału!

Jak nam z wielu stron donoszą, poczta nader nieregularnie dostarcza abonentom naszym numerów „PRACY“.

Są tacy, którzy się uskarżają w listach do nas, że od kilku tygodni przestali odbierać „Pracę“, choć się o nią upominają, inni zaś skarżą się, że „Pracę“ dostają albo zbyt późno, albo pomiętą, połamaną, pogniecioną i wytartą.

Nie chcemy przypuszczać (nie mając dowodów na takie twierdzenie), że poczta umyślnie szykanuje w ten sposób „PRACĘ“, aby odstręczyć i zniechęcić nam czytelników. W każdym bądź razie zaznaczamy, że reklamacye w redakcyi i ekspedycyi nic tu pomódz nie mogą, gdyż winną niedostarczania „PRACY“ jest **tylko poczta.** Nie należy się zatem zadowolnić gołosłowną odpowiedzią urzędnika pocztowego przy okienku, że „PRACA“ nie nadeszła, albo że jej wogóle nie nadesłano: należy się energicznie i z całym naciskiem dopominać numerów. Poczta

musi sprowadzić dostateczną ilość numerów z Poznania, skoro od abonenta wzięła za to pieniądze.

Redakcya i Ekspedycya „PRACY.“

Jeszcze można zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

*tylko 1 markę 25 fenygów.*

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: **Abtheilung II t. poln. Nr. 103.**

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

☞ Już każdy pojedyńczy numer „Pracy“, z opisem malowniczym W. Ks. Poznańskiego, pięknie illustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, przeniesie wartość abonamentu.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy,“ upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Baczność!! Baczność!!

„Czytelnia Polska“

wychodzi

☞ już od 25-go zeszytu począwszy w zwiększonej objętości 24 stron i więcej

☞ z pięknemi oryginalnemi powieściami illustrowanemi.

Mimo tych ulepszeń, połączonych z znacznemi kosztami *abonamentu nie podwyższamy.*

Jeszcze można zapisać

„Czytelnię Polską“

*na nowy kwartał*

**„CZYTELNIA POLSKA“** zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

*Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie*

☞ *60 fenygów.* ☜

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

☞ *97 hal.* ☜

*Pod opaską: kwartalnie 1,10 mrk., czyli 1 koroną 32 hal.*

Co dopiero i to w zeszycie 24-ym rozpoczęliśmy druk pięknej, nadzwyczaj sensacyjnej i bardzo zajmującej powieści *M. Jokay'a* p. t.:

*„Czarne djamenty.“*

*Nowo przybyli abonenci otrzymają początek tej powieści gratis za nadesłaniem dziesięciofenygowego znaczka pocztowego.*

Sądzimy, że zaprowadzone ulepszenia i illustracye przysporzą *„Czytelni Polskiej“* nowe liczne szeregi zwolenników.

My dajemy ideę, dajemy pomysł, od Was i Waszego poparcia Czytelnicy, zależy, czy pomysł ten przerodzi się w nową, skuteczną dźwignię polskości.

*A więc — czynnego poparcia jak najwięcej!*

*Redakcya.*

# Wiadomości.

*Portret Patrona Maksymiliana Jackowskiego wykonany artystycznie na kartonie — mogą Czytelnicy nasi nabyć z Ekspedycyi naszej za nadesłaniem 50 fen.*

*Prosimy adresować: „Praca“ Poznań (Posen.)*

*— Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.*

— **Proces** przeciwko 13 akademikom i byłym akademikom rozpoczął się w czwartek dnia 13-go b. m. przed izbą karną sądu ziemiańskiego w Poznaniu. Proces toczyć się będzie przez 4 dni. Jako obrońcy zasiadają pp.: Chrzanowski i dr. Celichowski. Oskarżeni są: referendaryusz Fr. Karaś z Leszna, dr. jur. Kowalczyk z Wrocławia, kand. med. C. Rydlewski z Berlina, aptekarz L. Sumiński z Poznania, technicy: E. Milewicz, B. Steinmetz i M. Dziewulski z Köthen, kand. med. F. Biały z Lipska, technik Z. Raszkowski z Karlsruhe, inżynier S. Natanson z Charlottenburga, stud. rer. nat. K. Janicki z Freiburga, kand. med. B. Szulczewski z Lipska. Wszystkich oskarżono na mocy paragrafu 128 ustawy karnej o tajne niedozwolone związki państwu nieprzyjazne — jakoby należeli do Ligi mającej za cel niepodległość Polski. Skarga obejmuje 48 drukowanych stronic.

Z 13 oskarżonych stawiło się 5: pp. Karaś, Kowalczyk, Rydlewski, Sumiński i Trepiński. Ci są poddanymi pruskimi. Reszta oskarżonych pochodzi z zagranicy.

Na proces wysłaliśmy naszego specyalnego sprawozdawcę i w następnym numerze zamieścimy oryginalne sprawozdanie z przebiegu oraz wyniku procesu.

— **Nr. 3 „Bociana“** wogóle przedstawia się bardzo dodatnio. Między innymi zawiera pyszne, pełne humoru sprawozdanie z wiecu obyczajowego, oraz list kr. Fryderyka (z tamtego świata) i humoreskę p. t. „Amen“ i wiele innych dowcipnych rzeczy. Pod względem illustracyi również niewiele pozostawia do życzenia.

Słowem śmiało można powiedzieć, że nie mieliśmy tu jeszcze tak starannie wydawanego pisma w tym rodzaju i brak takowego dotkliwie uczuwać się dawał. „Bocian“ więc czyniąc zadosyć istotnej potrzebie, zapełnia rażącą lukę w naszem dziennikarstwie. Ze wszech miar przeto zasługuje na poparcie, i tem chętniej go polecamy, że bez obrazy uczuć moralnych może być do każdego domu wpuszczony. „Bocian“ kosztuje 1 Mrk. kwartalnie, a kto zapłaci za cały rok (i 20 fen. na przesyłkę) ten otrzyma w podarunku powieść historyczną p. t. „W obronie świątyni“ kosztującą 2,50 Mk. Adres: „Bocian“, Poznań, ul. Fryderykowska Nr. 12.

— **Sprostowanie.** W numerze ostatnim „Pracy“ (nr. 27-my) na stronie 721-ej w spisie kościołów poznańskich w notatce o kościele na św. Łazarzu czytać należy: *Kościół pod wezw. Matki Bozkiej Bolesnej*, a nie kościół św. Floryana.

— **O blasfemią** przeciwko obrazowi Matki Bozkiej Częstochowskiej, wytoczyli panowie Stanisław Szulc i Franciszek Krzyżagórski z Poznania proces panu dr. Oskarowi Linkemu, naczelnemu redaktorowi „Posener Zeitung.“

— **Dr. Kapuściński** dotknięty został ciężkim smutkiem przez śmierć małżonki swej, od wielu lat złożonej obłożną chorobą. Całej rodzinie przesełamy wyrazy najszczerszego współczucia.

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożył w dalszym ciągu p. R. K. z Kostrzyna 75 fen.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 562 mrk. 24 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Dr. Smolibocki**, lekarz - specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie, po kilkoletnich studyach specyalnych we Wrocławiu, Dreźnie i Moguncyi osiedlił się w Inowrocławiu i mieszka przy ulicy Zygmuntowskiej nr. 11.

— **„Przykładny“** pastor. W Nowym Rupinie stawał przed sądem karnym pastor Hofbauer z Redlina. „Volksztg.“ zdarzenie to tak opisuje: Wdowa Strassen służyła

a pastora H. za piastunkę i oprócz niej była jeszcze młoda służąca Helena Pötz. Gdy pewnej niedzieli żona pastora, która pochodzi z Poznańskiego, wróciła z kościoła, nie było mięso jeszcze upieczone. Żona doniosła o tem pastorowi. Ten wpadł do kuchni, i wziąwszy żelazny haczyk i koszyk od węgli nielitościwie zbił narzędziami temi służącą i piastunkę. Krew lała się strumieniami i żona pastora musiała podłogę ścierką czyścić. Stara piastunka odniosła z pobicia kilka ran na głowie, a niektóre rany były 5 ctm. długie i 2 centymetry głębokie. Przeleżała ona 6 tygodni i utraciła słuch. Prezes sądu i prokurator w ostrych słowach zganili postępowanie jego. Najwięcej oburza to, że ten dziwny i nadzwyczajny duchowny pasterz obwinił starą piastunkę, którą na świadka wezwano o krzywoprzysięztwo, chociaż do wszystkiego się przyznał. Prokurator wniósł o trzy miesiące więzienia. Sąd jednak skazał go na karę pieniężną 600 mrk. i poniesienie powstałych ztąd kosztów.

## RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Pleszew.** Towarzystwo Młodzieży Polsko-katolickiej w Pleszewie urządza w niedzielę dnia 14-go lipca r. b. w ogrodzie p. Lewandowskiego tegoroczną zabawę latową. Początek koncertu o godz. 4-tej po południu. Wstęp od osoby 20 fen., dzieci połowę. Wieczorem zabawa z tańcami na sali. Wstęp na salą dla panów 1 mrk. O liczny udział uprasza Zarząd.

— **Tow. Przemysłowe w Strzelnie** urządza w niedzielę dnia 14-go b. m. w boru zabawę latową.

Na powyższą zabawę wszystkich życzliwych Towarzystwu jak i gości uprzejmie zaprasza Zarząd.

## Od Redakcyi.

*I. S.* — Dębniki per Kraków.

*Panu Ferd. Agr. w Buku.* — Bliższych szczegółów udzielić nie możemy. Najlepiej by poinformował p. dr. Erzepki, konserwator Muzeum im. Mielżyńskich w Poznaniu.

*Panu F. Sz. w Kórniku.* — Żażal się Pan do dyrekcyi poczty w Poznaniu. Podanie musi być napisane w języku niemieckim.

*Prenumeratorowi S. O. w Daniszynie.* — Na listy i karty pocztowe nie zaopatrzone w całkowity podpis interesenta nie dajemy żadnych objaśnień.

*P. Romuald Oleaczek — Jordanów,* Galicya. Życzone numery tak „Pracy“ jak też „Czytelni Polskiej“ zupełnie wyczerpane.

*P. Kroczek — Bytom.* — Nr. 12 z r. 1900 wyczerpany.

*P. Fr. Tepper — Pruchna Ślązk austr.* „Biblioteka powieści“ — Poznań, ul. Wodna.

*P. K. Piecha Zaborze G. Śl.* — Może Pan na jednym kwicie większą ilość „Pracy“ zapisać.

*Panu Antoniemu L. w Kruświcy.* — Owszem — bardzo prosimy o widoki Kruświcy, które po zrobieniu użytku odeślemy z podziękowaniem. Zabawy niemieckie nic nas nie obchodzą, zatem też o nich nie referujemy.

*Panu Dr. Z. w Czarnym Dunajcu,* Galicya. — Na razie jesteśmy zaopatrzeni.

*Panu Szczepanowi Ł. w Lekendorfie.* — Teatr wyjechał na lato do Ciechocinka. Kostyumy teatralne wypożycza i sprzedaje Polak, p. Bolesław Nixdorf w Poznaniu, Stary Rynek.

*Panu L. T. w Inowrocławiu.* — Bądź Pan łaskaw poinformować nas bliżej, mianowicie w jakiej kwestyi mamy Panu dać odpowiedź, gdyż wobec licznych rewizyi, konfiskat i t. d. nie możemy dojść do ładu z nadesłanemi nam manuskryptami i listami tym więcej, że niektóre papiery zaginęły.

*Panu Władysławowi N. w Berlinie.* — Wyjdzie po ukończeniu druku w „Pracy“ w osobnej książeczce. Co do drugiej sprawy udaj się Pan do księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

*Panu A. M. w Bytomiu.* — Serdecznie dziękujemy za przesyłkę — skorzystamy.

*Ciekawskiemu.* — Listów tak bez podpisu jak też zaopatrzonych pseudonimami nie uwzględniamy.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**


FABRYKA
**papierosów i tureckich tytuni**
**„VULKAN“**
**I. F. J. Komendziński w Dreznie**
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Prawie **w wszystkich miastach** i wsiach Ks. Poznańskiego, Prus Śląska i Westfalii, wyjąwszy Hamburga i Brazylii po kilka filii, **pobobnych filiom pewnej konkurencyi.**

**Kto**
pragnie kupić 137
**dobrej, zdrowej, czystej i silnej**
**wódeczki**
lub kto chce napić się tejże w jakimkolwiek lepszym lokalu, ten niech żąda i uważa, aby były **z naszej**
**Fabryki wódek i nalewek owocowych w Poznaniu**
**Marczyński & Klóskowski,**
**Kantor ul. Berlińska nr. 14/15.**




**Zakład przemysłowy w Gnieźnie,**
pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, przyjmuje każdego czasu panienki — na stancyą i przychodnie — dla praktycznej nauki w robótkach, bieliźnie i krawieczyźnie; w gotowaniu i prasowaniu. Ciągła, obstalunkowa robota, daje uczennicom sposobność do nabierania gustu i do zamiłowania w pracy. Od zwykłych robót na drutach, do najwykwintniejszych haftów domowych, salonowych i kościelnych, a tak samo w bieliźnie i w krawieczyźnie, wszystko się tu robi, więc wszystkiego nauczyć mogą się dziewczęta. Zwracamy zatem uwagę szanownych rodziców i opiekunów, którzy pragną dla swych córek praktycznego wykształcenia, ***na zakład przemysłowy gnieźnieński,*** gdzie uczennica, prócz praktycznej nauki znajdzie wszystkie warunki opieki rodzicielskiej.
Z poważaniem
***M. Kierska.***
***Gniezno, ul. Górna 1.*** 490

Do samodzielnego zarządu domu kawalerskiego w większem mieście w Niemczech potrzebna
**gospodyni**
czyli zarządczyni od zaraz lub później. Pensya 400 mk. rocznie i wszystko wolne; podróż również wolna. Krótki życiorys wraz z dołączeniem fotografii upraszam pod lit. **S. M. I** do Ekspedycyi „Pracy“ w Poznaniu. 488

Z dniem 1-go sierpnia r. b. ewtl. później, mam w domu moim przy ulicy kolejowej, frekwencyjnej części miasta,
**lokal handlowy**
do wydzierżawienia, nadający się do każdego przedsiębiorstwa.
Dla rodaka, dzielnego w swym zawodzie pewna egzystencya.
**J. Gregorowicz,**
**Kruszwica.** 486

**Pokój meblowany**
z osobnem wejściem, jest od zaraz do wynajęcia. 491
**Wiedeńska ul. nr. 8 I piętro.**

Wielki
**plac**
wraz z mieszkaniem
**i ogrodem**
mam od zaraz lub później przy ulicy kolejowej do wydzierżawienia, nadający się do większego przedsiębiorstwa.
**J. Gregorowicz,**
***Kruszwica.*** 487

Młoda 475
**panienka**
z zacnej rodziny pragnie przyjąć miejsce jako towarzyszka przy pani. — Najchętniej do Galicyi. Nie chodzi bynajmniej o pensyą — ale o dobre i przyjemne miejsce.
Zgłoszenia pod nr. 475 do Eksp. „Pracy“.

**Ucznia**
z dobremi szkólnemi wiadomościami, syna uczciwych rodziców przyjmie zaraz lub później do mego składu win, towarów kolonialnych, delikatesów i cygar.
**W. Jeziorkowski,**
**Miłosław, Bazar.** 491


***W sądzie.***

— Dorożkarzu, oskarżony jesteś o przejechanie człowieka.

— To nie prawda, proszę łaski sędziego, ja tam żadnego człowieka nie przejechał.

— Jakto?! przecież w protokule wyraźnie powiedziane, żeś przejechał cyklistę.

— A no, wściekliste to juźci... ale przecie taki wściekliste to nie żaden człowiek!



Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup Dr. Floryan Stablewski.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“